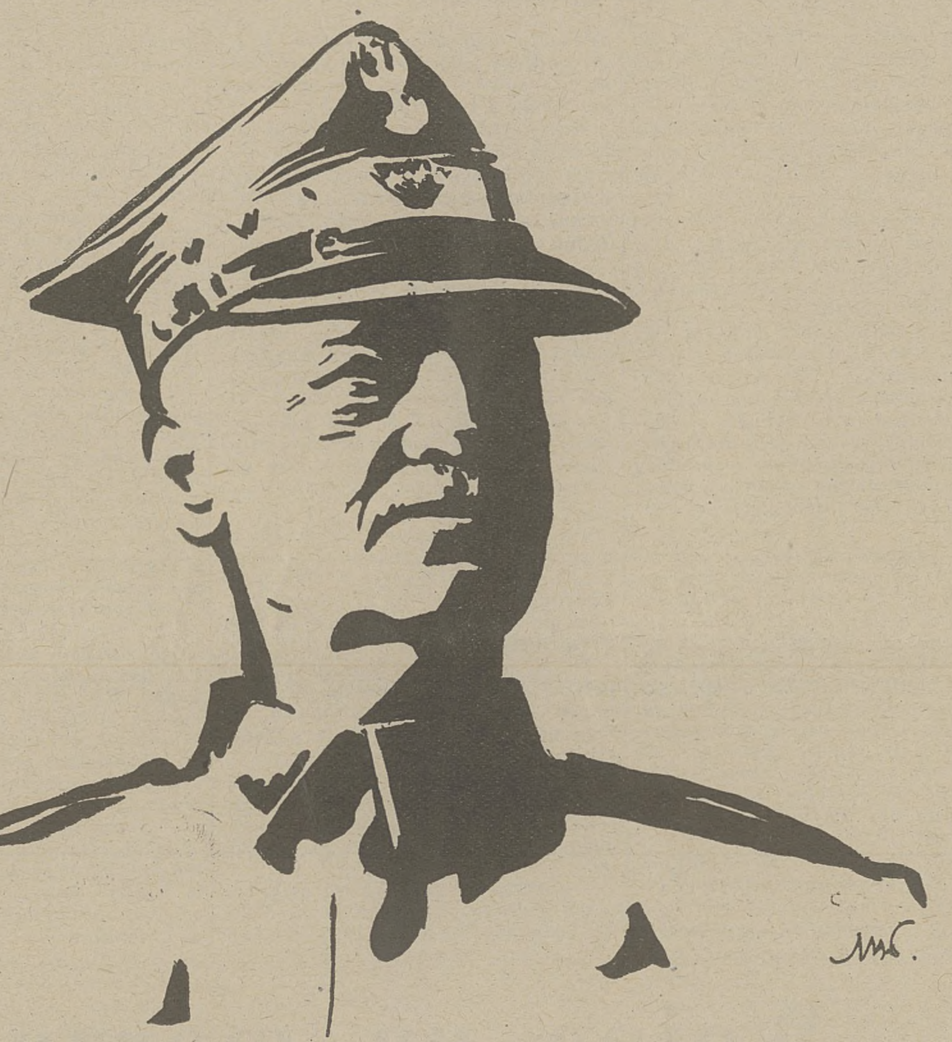
POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień *Dnia 10-go lipca 1943r.* **Rok V. Nr. 27**

GENERAŁ SIKORSKI NIE ŻYJE



MINISTER OBRONY NARODOWEJ
I NACZELNY WÓDZ

Rozkaz Nr. 5.

Żołnierze!

Nasz Wódz Naczelny, Generał Broni Władysław Sikorski, zginął śmiercią żołnierską w służbie Rzeczypospolitej.

Generał Sikorski żył i umarł, jak żołnierz nieustraszony i niezmordowany bojownik naszej sprawy.

W tamtej wojnie był mężnym żołnierzem, odważnym i szczęśliwym dowódcą, jednym z współtwórców ostatecznego zwycięstwa. Przez następne dwudziestolecie żył i pracował niestrudzenie dla Polski, jej wielkości, jej ratowania, gdy piętrzyły się już grożące jej niebezpieczeństwa.

Po zalewie Rzeczypospolitej przez wroga, on odtworzył na obcej ziemi Rząd i nasze Siły Zbrojne na ziemi francuskiej, a po raz wtóry w Wielkiej Brytanii.

On zamienił naszych jeńców i zesłańców w silną Armię Polską na Wschodzie.

Ciężkie brzemię jego zadania dźwigał z siłą nadludzką, z niesłabnącą nigdy, młodzieńczą energią, z niezachwianą żadnymi przeciwnościami odwagą, z płomienną wiarą w zwycięstwo.

Wódz nasz był najwierniejszym sługą naszego narodu, chylącym czoło przed jego moralną wielkością i posłusznym jego woli. Chciał jako wódz i żołnierz ponieść w walce dar wolności naszej, udręczonej a niezłomnej Ojczyźnie. Chciał być wśród pierwszych, którzy dotrą do Kraju.

Nie było mu danym doprowadzić nas do ostatecznego zwycięstwa. Odszedł nas w nieśmiertelność.

Duch jego będzie z nami.

Na nas ciąży odpowiedzialność za jego spuściznę, za nasze Siły Zbrojne.

Powaga chwili wymaga od nas jedności, dyscypliny, wytrwania, twardego pełnienia powinności żołnierskiej, skupienia się z ufnością przy Prezydencie Rzeczypospolitej i jej Rządzie, pełnej zaparcia się służby sprawie.

Tego oczekuje od Was Pan Prezydent R.P.

Powołany przez Niego do tymczasowego pełnienia obowiązków Wodza Naczelnego, zarządzam ku uczczeniu pamięci Generała Broni Władysława Sikorskiego w myśl postanowienia Rządu dwutygodniową żałobę w Polskich Siłach Zbrojnych.

Rozkaz ten odczytać przed frontem wszystkich oddziałów Sił Zbrojnych Lądowych, Lotniczych i na Okrętach R.P.

(—) Kukiel
Minister Obrony Narodowej
p.o. Naczelny Wódz.

Londyn, dnia 5.VII.1943 r.

Szkic sytuacyjny

MOWA CHURCHILLA W GUILDHALL

Na czoło wydarzeń ostatnich dni wysuwa się mowa Winstona Churchilla wygłoszona z racji nadania mu największej godności, jaką rozporządza stara City Londyńska: godności "*freeman'a*" *City*. Premier Wielkiej Brytanii wygłosił przemówienie, którego punkty główne dały by się ująć mniej więcej w ten sposób:

1/ Podstawą przyszłego pokoju i pomyślności świata jest współpraca Wielkiej Brytanii ze Stanami Zjednoczonymi. Jeżeli taka współpraca zostanie utrwalona i jeżeli te dwa mocarstwa będą szły razem /" i maszerować razem, gdy zajdzie potrzeba" — dodaje znacząco premier brytyjski/, wówczas świat może spokojniej patrzeć w przyszłość. Jedność brytyjsko-amerykańska stanowi gwarancję pokoju i pomyślności dla innych krajów i narodów.

2/ W działaniach wojennych należy się liczyć z dalszym rozprzestrzenianiem się wojny lotniczej, przy czym lotnictwo U.S.A. coraz wydatniej będzie zaznaczało swój udział.

3/ "Zanim opadną liście jesienne," według wyrażenia Churchilla, należy się liczyć z "ciężkimi bojami" w basenie Morza Śródziemnego.

4/ Uderzenie na Kontynent, jako działanie "ziemno-wodne" musi być przygotowane niebywale starannie. Tego rodzaju operacje są najtrudniejszymi poczynaniami jakie zna strategia.

5/ Ciosy zadawane wrogowi są poważne, ale należy ostrzec przed wszelkim nadmiernym optymizmem. Czekają nas długie i trudne zmagania.

Pogląd Churchilla wypowiedziany dobitnie i jasno wydaje się wyjątkowo trafny i realistyczny. Mowa w Guildhall potwierdza wypowiedziany już raz w Izbie Gmin sąd, że *sednem jest przecież alians anglo-amerykański* i że inne sojusze są niejako pochodne czy stanowią dobudowę do tego gmachu. Churchill nie od dzisiaj wyznaje zasadę, że jedność U.S.A. i Wielkiej Brytanii jest warunkiem istnienia Imperium, jest koniecznością i to nie chwili, ale *koniecznością stałą*. Wbrew tym, którzy uważają, że podstawą jest sojusz taki czy inny /n.p. z Rosją/ Churchill stale i uparcie podkreśla unię z Ameryką jako motyw najważniejszy. Sądzi on — i słusznie — że prawdziwa jedność może się wytworzyć między organizmami podobnymi kulturą, zasadami, tradycjami; nie wystarczają wymagania militarne, potrzeby wojny.

Co do czasu trwania wojny Churchill trzyma się swojego realistycznego poglądu, że nie sposób przewidzieć tej sprawy. Wiadomo, że premier Wielkiej Brytanii wspomniał o roku 1944 a nawet 1945 jako granicach wojny w Europie. Z tego, że mówi o akcji gdzieś w jesieni, w basenie Morza Śródziemnego wynikałoby, iż liczy się on z nową zimą wojenną i że dopiero rok 1944 uważa za przełomowy. Nie zapowiada żadnych większych poczynań; bombardowanie Rzeszy będzie rosło, zagarniało coraz to nowe obszary, ale o ataku na "fortecę Europy" jeszcze nie słychać.

W sumie mowa Churchilla jest poważnym ostrzeżeniem, by wojnę traktować — poważnie. Ostrzeżeniem, że w wojnie tej nie ma cudów: *jest fakt narastania produkcji sojuszniczej, który przesądzi wynik, ale narastanie to oznacza — czas i cierpliwość.*

Akcja przeciwko kontynentowi będzie ciężka i krwawa. Raz jeszcze dano do zrozumienia tym, co wołali /jeszcze w lecie 1942 r.!/ o drugi front, że jednak drugi front to bardzo poważna rzecz, że *trzeba tę akcję przygotować* i że — nie można się skompromitować.

ZASTÓJ NA WSCHODZIE

Front wschodni nie zajmuje już dzisiaj głównej uwagi prasy. Coraz więcej pisze się o nalotach na Rzeszę, o froncie wewnętrznym w Niemczech, o akcji lotniczej na Oceanie Spokojnym i t.d.

Na razie nic nie wskazuje na to, by front wschodni ruszył. Niespodzianki są ciągle możliwe, ale coraz więcej wskazuje, że obie strony — "szanują się," oszczędzają swe siły.

Rosjanie najwidoczniej liżą się z ran. Niemcy zbierają siły a generał Unruh zaczyna gromadzić zapowiedziane miliony. Ale nie zdąży przed wiosną 1944. Front na Wschodzie jest — jak donoszą źródła neutralne — fortyfikowany poważnie po stronie niemieckiej. Niemcy gotowi są do przyjęcia uderzeń sowieckich; ale z nadejściem zimy ta gotowość będzie się przedstawiać o wiele gorzej. Trzeba sądzić, że na to właśnie liczą Rosjanie. W październiku mogli by oni przystąpić do uderzeń wstępnych.

Jeżeli tego nie zrobią i jeżeli do listopada, grudnia, nie ruszą, dowodziłoby to, że Rosjanie chcą także — przeczekać!

KOLONIA W GRUZACH

Uderzenie lotnicze w Kolonię wyrządziło tam nowe szkody. Kolonia jako węzeł kolejowy pierwszej wielkości między zachodem a wschodem Rzeszy, była już nie raz rąbana z powietrza. Wydaje się, że ciosy zadane obecnie były szczególnie ciężkie. Skierowane w linie kolejowe i dworzec /leżący naprzeciwko Katedry Kolońskiej/ musiały położyć pokotem olbrzymie połacie miasta.

Wrzask jaki podniesiono w Rzeszy z racji ataku na Kolonię dowodzi, że Zachód Niemiec cierpi coraz bardziej, że ludność nie widzi osłony ani ratunku przed uderzeniami R.A.F.'u oraz lotnictwa U.S.A. i że ataki lotnicze wywołują stan depresji w Rzeszy.

FRONT WEWNĘTRZNY NIEMIEC

Na wstępie roku bieżącego podkreślaliśmy parokrotnie, że front wewnętrzny Rzeszy winien być stale i pilnie obserwowany. Rzesza, zaznaczaliśmy, wkracza w okres "delikatny," kiedy reakcja psychiczna, nastawienie ludności, wiara w skuteczność wojny stają się czynnikami olbrzymiej doniosłości.

Przestrzegaliśmy stale przed optymizmem tych, którzy zapewniali /od jesieni 1939 roku/, że "Niemcy się rozlecą." Dzisiaj jesteśmy dalej zdania, że nie widać oznak "rozlatywania się" Rzeszy. Ale powstaje atmosfera czy koniunktura psychiczna, która może zaważyć ogromnie na ostatecznym wyniku, na finiszu.

Sprawozdawca berliński poważnego pisma szwajcarskiego "*Neue Zuercher Ztg.*" przesłał swemu pismu depeszę bardzo znamienną. Zaznaczył w niej, że front wewnętrzny zajmuje uwagę rządu niemieckiego w stopniu daleko większym, aniżeli fronty wojenne. Na odcinkach bojowych Rzesza nie obawia się jakichś przewrotowych, sensacyjnych zmian! Jeżeli jednak chodzi o front wewnętrzny, to obserwuje się go pilnie, albowiem ludność Rzeszy przechodzi kryzys. Czerwiec roku 1943 "był najcięższym dla ludności Rzeszy" — ciągnie wymieniony powyżej sprawozdawca. Zachwiała się wiara w skuteczność walki okrętów podwodnych; wiara ta była mocno ugruntowana, albowiem mogła się poszczycić wynikami. Ogół niemiecki wierzył, że jednak okręty podwodne będą mogły przeważyć szalę. Dzisiaj porażki i zastój na froncie morskim powstałe na skutek coraz cięższych strat — dowodnie wykazują społeczeństwu niemieckiemu, że i ta karta nie "idzie."

Rozczarowanie to musi być bardzo bolesne. Jeszcze może boleśniejsze jest przekonanie, że "Luftwaffe" nie potrafi obronić kraju. Ciosy lotnicze przybierają charakter tak gwałtowny, zniszczenie idzie takim krokiem, że ludność Rzeszy zapytuje co warte są podboje i trzymanie obcych "zastawów" skoro same Niemcy obracają się w ruinę?

Te wszystkie momenty zaczynają grać swoją rolę. Nie są one jeszcze decydujące. Przypuszczalnie będą one decydujące — tylko w zespole niejako z innymi faktami. Ale jesień i zima 1943/44 może przynieść takie "noce zgrozy" dla olbrzymich połaci Rzeszy, że nastąpi tam paraliż woli ludzkiej, wytrzymałości; że przemysł zostanie wytrącony z równowagi; że miasta wyludnią się; że przerzucanie przemysłu nie nadąży tempu niszczenia. Już dzisiaj na skutek skupienia całego wysiłku na zbrojeniach i na przemyśle wojennym, Rzesza nie wytwarza towarów. Nie ma zatem czego ofiarować na eksport do krajów neutralnych; brak Rzeszy towaru do wymiany ze Szwecją, Szwajcarią, Turcją, Hiszpanią. Rośnie dług Rzeszy a państwa neutralne coraz wyraźniej unikają handlu z Berlinem.

Przez ten brak towaru kurczy się rynek wewnętrzny; ludność Rzeszy nie ma czego kupować. Inwestuje się w czym popadnie; mnożą się kupna majątków ziemskich, dzieł sztuki. Coraz więcej ludzi ucieka od banknotu. Przemówienia ministrów Rzeszy wypowiedziane w ostatnich dniach nawołują do pohamowania pesymizmu w sprawie waluty niemieckiej. Dowodzi to, że obawa inflacji rośnie, że *społeczeństwo niemieckie coraz bardziej czuje powiew katastrofy i że rosną obawy co do gospodarczej przyszłości państwa.*

W tych warunkach wszelkie bakcyle choroby lęgną się szybciej; wszelkie trwogi, lęki, psychozy przybierają charakter uporczywy, niebezpieczny. Każda drobna przypadłość może mieć poważne skutki.

Rzesza wchodzi w piąty rok wojny z wysoce nadszarpanymi nerwami; ze stratami, które idą w miliony /5 milionów?/; jest dzisiaj państwem, które mobilizuje wszystko na "czarną godzinę"! Nie jest to rzecz nowa: już w roku 1918 zamordowany później Rathenau starał się przeprowadzić "totalną mobilizację," oczywiście według wzorów swoich czasów. Próba ta zawiodła, zabrakło czasu, Rzesza nie liczyła się z tym, że będzie aż tak źle, że do takich środków trzeba się będzie uciekać.

Dzisiaj Rzesza raz jeszcze wchodzi na niebezpieczną krzywą, na której już raz rozbiła się w roku 1918.

Londyn dnia 3-go lipca 1943.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z tygodnia na tydzień

26 czerwca: W nocy z 25/26 polskie dywizjony bombowe brały udział w operacjach bojowych. Wszystkie załogi polskie powróciły.

—Polskie dywizjony myśliwskie w ciągu dnia uczestniczyły w zadaniach bojowych. Jeden samolot nie wrócił.

27 czerwca: Gen. Sikorski przemawiał przez radio w Bejrucie do Kraju i do żołnierzy Armii na Wschodzie. W przemówieniu tym Naczelny Wódz powiedział:

"Dzięki materialnej pomocy W. Brytanii i St. Zjednoczonych organizacja i uzbrojenie Armii są dzisiaj zakończone, a wyszkolenie osiągnęło — jak to stwierdziłem osobiście — wysoki poziom. Jest ona jednym zwartym blokiem, który ożywia wspaniały duch i spontaniczna żądza rozprawy z odwiecznym wrogiem Polski i Polaków."

. . . "Rozsądna i trzeźwa ocena położenia międzynarodowego pozwala nam wierzyć, że pomimo czekających nas jeszcze wielu, bardzo wielu trudności i niebezpieczeństw, Polska, będąca sprawdzianem zasad głoszonych przez Aliantów, wyjdzie zwycięsko z obecnego kataklizmu dziejowego. Wysiłkiem wspólnym zrzucimy kajdany niewoli, wymierzymy surową karę wandalom i zapewnimy trwały a święty i na rzetelnej demokracji zbudowany byt Najjaśniejszej Rzeczypospolitej."

28 czerwca: W Szkocji otwarto IV kurs Wyższej Szkoły Lotniczej.

—Polskie dywizjony myśliwskie osłaniały wyprawy bombowe, przeprowadzały wymiatanie i patrolowanie ofensywne. Wszyscy piloci polscy powrócili z tych zadań.

—Generał Sikorski przybył do Kairu z Bejrutu.

29 czerwca: W nocy z 28/29 polskie dywizjony bombowe brały udział w bombardowaniu Kolonii. Jedna załoga polska nie powróciła.

—Polskie dywizjony myśliwskie osłaniały wyprawę bombową oraz atakowały cele ziemne. Jeden z polskich myśliwców ostrzelał ogniem swych działek i karabinów maszynowych pociąg towarowy. Wszyscy piloci polscy powrócili.

—O.R.P. "Dzik" zatopił, jak ogłoszono dzisiaj, w okolicy cieśniny Messyńskiej nieprzyjacielski statek pasażersko-towarowy o pojemności około 4.000 ton.

—Generał Sikorski złożył w Kairze wizytę królowi greckiemu Jerzemu oraz odbył konferencję z głównodowodzącym sił zbrojnych Sprzymierzonych na Środkowym Wschodzie, gen. Sir Maitland Wilson.

30 czerwca: W nocy z 29/30 polskie dywizjony bombowe brały udział w działaniach bojowych zakrojonych na szeroką skalę. Wszystkie załogi polskie powróciły.

—Polski dywizjon myśliwski wykonał daleki lot rozpoznawczy nad terenem okupowanym przez nieprzyjaciela, z którego jeden pilot nie powrócił.

—Amerykańskie siły zbrojne, w ramach szerokiej ofensywy gen. MacArthura na Płd.-Zach. Pacyfiku, lądowały na wyspach Salomona i na Nowej Gwinei atakując pozycje japońskie.

—Generał Sikorski w czasie pobytu w Kairze podpisał nominacje na podporuczników i awanse na poruczników w Armii Polskiej na Wschodzie.

—Tego samego dnia Naczelny Wódz nadał Krzyże Walecznych trzem wyższym oficerom brytyjskim, którzy należeli do załogi Tobruku w okresie, kiedy Brygada Karpacka broniła tej twierdzy. Odznaczeni oficerowie wyróżnili się dzielnością w walce przeciw wspólnemu wrogowi.

1 lipca: Polskie "skrzydło" myśliwskie przeprowadzało wymiatanie nad terenem nieprzyjacielskim. Tego samego dnia polskie samoloty myśliwskie wykonały daleko lot rozpoznawczy i atakowały żeglugę nieprzyjaciela przy wybrzeżu holenderskim, z pomyślnymi wynikami. Z wszystkich tych zadań piloci polscy powrócili szczęśliwie.

—Generał Sikorski został przyjęty na audiencji przez króla Faruka. Tego samego dnia Naczelny Wódz po naradzie z gen. Andersem i gen. Klimeckim wydał szereg decyzji w sprawach wojskowych, m.in. w sprawie reorganizacji sztabu Armii na Wschodzie celem przyśpieszenia przygotowania jej do działań bojowych.

—Radiostacja "Świt" nadała oświadczenie, w którym Kraj zapewnia Sprzymierzonych o nieugiętej woli walki przeciw najeźdźcy oraz o swej solidarności z Rządem R.P. w Londynie.

Wojna na morzu

ZŁE I DOBRE MINY

Komunikat Admiralicji podał, że przeszło 400 okrętów niemieckich zatonęło na minach, postawionych wzdłuż brzegów Francji, Belgii, Holandii, Danii, Norwegii i Niemiec. W tej liczbie jest kilka okrętów wojennych, wielki transatlantyk, z górą 100 większych transportowców, kilkanaście okrętów-cystern, a między innymi 3 promy kolejowe. Te ostatnie, jak również poważna część innych statków, zatopione zostały na Bałtyku. Brytyjskie powietrzne stawiacze min sięgnęły i na te wody.

Rzecz ciekawa, na początku tej wojny Niemcy liczyli ogromnie na sukces swej nowej broni podwodnej, jaką były miny magnetyczne. Wyprodukowano ich olbrzymią ilość. Uczeni i admirałowie niemieccy zapewniali, że będzie to broń straszna, przeciwko której nie będzie można znaleźć żadnej obrony.

Rzeczywiście, min magnetycznych nie można trałować starymi sposobami, a tak zw. parawany nie chronią okrętów od ich wybuchu. Poza tym stawianie min magnetycznych z samolotów daje olbrzymie możliwości taktyczno-operacyjne, a zatem winno pociągnąć za sobą i poważne skutki strategiczne. Opanowanie wybrzeża Francji przez Niemców możliwości te jeszcze rozszerza.

Niestety, a raczej na szczęście, Hitler wraz ze swoimi uczonymi i admirałami srodze się zawiódł. Tajemnica miny magnetycznej została przez Anglików wykryta w dwa miesiące po wybuchu wojny. Skoro min magnetycznych nie można trałować, trzeba było czekać na sposobność, aby te niebezpieczne "rybki" same zawędrowały do sieci, gdy miny rzucone w bardzo płytkim miejscu, ukazały się na powierzchni w czasie odpływu. Dwóch oficerów i dwóch podoficerów Marynarki Brytyjskiej, specjalistów broni podwodnej, poświęciło się zbadaniu tajemnicy. Jeden z nich później zginął. Jednak tajemnica została wykryta, a o resztę postarali się uczeni angielscy . . . stosując przeciwko minie magnetycznej niemiecki wynalazek: "prawo de Gauss'a." Okręty sprzymierzone zostały zaopatrzone w bardzo proste urządzenie elektromagnetyczne, unieszkodliwiające z miejsca napotkane miny. Po prostu okręt nie pobudza tych min do wybuchu.

W ten sposób cała niemiecka produkcja minowa znalazła się pod znakiem zapytania. Spróbowali Niemcy jeszcze miny akustycznej, ale i na to znalazły się sposoby. Natomiast najzwyklejsze miny angielskie, stawiane na wodach niemieckich, robią swoje. Na minach polskich, postawionych w obrębie Zatoki Gdańskiej, wyleciały w powietrze w r. 1939 — dwa małe okręty wojenne i jeden transportowiec.

Są więc widać dobre i złe miny. Ciekawe, jaką "minę" robią teraz owi uczeni niemieccy, co zapewniali Hitlera, że ich wynalazek jest niezawodny, a tajemnica nie do wykrycia.

ADMIRAŁ CZAS

Po szeregu wymówek, mających na celu wytłumaczenie narodowi niemieckiemu coraz to słabszych wyników wojny podwodnej — prasa niemiecka wynalazła jeszcze nowy wykręt: wykręt ten nazywa się — "Admirał Czas."

Słyszeliśmy dotychczas o "Generale Mrozie," który miał przykuć czołgi i działa sowieckie do obmarzniętych połaci Rosji i w tej sposób uniemożliwić działania na froncie rosyjskim zimą. W rezultacie okazało się, że Rosjanie potrafią walczyć zimą lepiej niż latem.

Słyszeliśmy o "Generale Błoto," który w porze wiosennych deszczów w Tunisie miał sparaliżować działania wojsk anglo-amerykańskich. W rezultacie w Tunisie nie ma już Niemców — nawet w obozach jeńców, bo przewieziono ich do Anglii lub Ameryki.

Obecnie Goebbels wynalazł "Admirała Czas"! Pod tym tytułem jedna z gazet szczecińskich pisze co następuje:

"Okręty podwodne nie mają na celu wymierzania przeciwnikowi stałych ciosów, ale stworzenie ściskającej go obręczy. Spadek zatopień dowodzi, że nieprzyjaciel zdołał rozluźnić tę obręcz. W ostatnich tygodniach miał on pewne powodzenie w walce z okrętami podwodnymi. W międzyczasie rozwinęliśmy nasze metody ofensywne w całości. Brytyjczycy posiadają niezawodnie talent i doświadczenie w metodach obronnych. Ale należy doceniać we właściwym stopniu ilość tonażu zatopionego przez niemieckie okręty podwodne w czasie tej wojny, oraz wartość "Admirała Czas," który nie powiedział jeszcze ostatniego słowa."

Tyle gazeta niemiecka. Autor artykułu myli się jednak. "Admirała Czas" doceniają należycie przede wszystkim Anglicy. "Admirał Czas" bowiem pracuje wyraźnie od początku wojny na korzyść Wielkiej Brytanii.

Posiadanie potężnej floty pozwoliło Anglii na zyskanie czasu, potrzebnego do uzupełnienia zbrojeń w dziedzinie lotnictwa i wojska . . . Pozwoliło na przerzucanie o tysiące mil morskich całych armii i olbrzymich ilości sprzętu i zaopatrzenia. Wielka flota nie dopuściła do inwazji wysp brytyjskich. A obecnie — po desancie afrykańskim — szykuje się do inwazji kontynentu europejskiego.

Więcej. Jeśli maj był dla niemieckich okrętów podwodnych dotkliwą porażką, to czerwiec stał się klęską. Niemieckie okręty podwodne kosztem kolosalnych strat własnych, zdołały zatopić zaledwie około 107.000 ton statków sprzymierzonych. Północny Atlantyk został prawie całkowicie oczyszczony z nieprzyjaciela. Jak sam Churchill powiedział — korsarze podwodni powrócili do swych spelunek, by lizać rany i łatać dziury.

A dziur tych jest sporo. Pobieżne obliczenia wykazują, że w ciągu ostatnich dwóch miesięcy zniszczono 60 do 70 okrętów podwodnych nieprzyjaciela, nie licząc tych co zostały uszkodzone i przez dłuższy czas nie będą mogły wyjść na morze. Jest to więcej niż Niemcy są w stanie wyprodukować.

Ale zbudować okręt podwodny to nie wszystko. Trzeba wyszkolić dowódców, oficerów, podoficerów i marynarzy. A te straty nie dadzą się uzupełnić tak łatwo.

Powstaje coś w rodzaju błędnego koła. Im więcej strat, tym trudniej o dobry i doświadczony personel. Im gorszy personel, tym większe straty. Hitler, Doenitz i Goebbels skompromitowali się swą wojną podwodną całkowicie. Jeśli nawet niemieckie okręty podwodne działać będą dalej, bo spędzić je całkowicie nie jest rzeczą łatwą ani szybką, to jednak dalecy jesteśmy bardzo od szumnych zapowiedzi "opanowania Atlantyku," "wygłodzenia Anglii," "zapobieżenia inwazji," a tym bardziej . . . "wygrania wojny przez okręty podwodne."

Nie pomogą Niemcom wykręty, że Atlantyk jest pusty, albo, że osłabienie walki podwodnej jest chwilowe. Admiral Lützow pisze wyraźnie w *Leipziger Neueste Nachrichten*:

"Wojna podwodna staje się coraz trudniejsza. Nieprzyjaciel chwycił się szerokiego stosowania bomb głębinowych, przeszkadzając działalności okrętów podwodnych na każdym kroku. Dalsze trudności wynikają z większego zasięgu patroli morskich i powietrznych nieprzyjaciela, wychodzących coraz dalej na szerokie wody oceanu, oraz z używania lotniskowców towarzyszących konwojom."

Admirał Lützow wprawdzie kończy swój artykuł słowami, że należy ufać w dalsze powodzenie wojny podwodnej — ale obawiamy się, że większość narodu niemieckiego z coraz to wzrastającą trudnością podzielać będzie jego zdanie. Trudność wmówienia w Niemca, że wojna podwodna może dać zwycięstwo i odwrócić niebezpieczeństwo inwazji, będzie wprost proporcjonalna do trudności, które załogi niemieckich okrętów podwodnych napotkają na swej drodze. A trudności te rosną z każdym dniem i godziną.

NA SALOMONACH

Amerykanie rozpoczęli działanie na szerszą skalę na Salomonach, zajmując szereg punktów o dużym znaczeniu strategicznym. Chodzi niewątpliwie o oddalenie niebezpieczeństwa inwazji Australii. Obie strony podkreślają, że spodziewana jest na tych wodach wielka bitwa morska.

Wylądowanie odbyło się przy zupełnym zaskoczeniu Japończyków, którzy daremnie usiłowali przeciwdziałać. 145 samolotów nieprzyjacielskich zostało zniszczonych w ciągu 2 dni. Po stronie amerykańskiej stracono 33 samoloty oraz transportowiec o pojemności 7500 ton. W chwili zatopienia transportowiec był już pusty, bowiem wojsko płynące na nim zdążyło wylądować. Z okrętów wojennych tylko jeden kontrtorpedowiec odniósł nieznaczne uszkodzenia.

Należy się spodziewać silnego przeciwdziałania japońskiego, operacje amerykańskie zagrażają bowiem Nowej Gwinei. Najbliższe dni przyniosą z pewnością szereg nowych wydarzeń o dużej doniosłości strategicznej.

NASZA MARYNARKA WOJENNA

Po swoim pierwszym powodzeniu — zatopieniu statku-cysterny o 7000 ton pojemności — O.R.P. "Dzik" zatopił w pobliżu Cieśniny Messyńskiej drugi statek, tym razem pasażerski, o pojemności 4000 ton. Najmłodszy okręt naszej Marynarki Wojennej — "Dzik" — zasłużył się więc dobrze. Świadczy o tym zarówno depesza gratulacyjna Szefa Kierownictwa Marynarki Wojennej do jego oficerów i załogi, jak i późniejsza depesza Ministra Obrony Narodowej: "Szable Dzika krają dobrze."

JULIAN GINSBERT

Przed drugim aktem tragedii

Jesteśmy w przerwie między dwoma aktami tragedii — dwiema fazami wojny. Przerwa w działaniach na wschodzie i przerwa na zachodzie. Cisza i spokój są jednak tylko pozorne. Za tajemniczą kurtyną kierownicy przygotowują nowy akt, następną fazę wojny. Na wschodzie — według sugestii niemieckich — ma to być n o w a strategia, nowy sposób prowadzenia wojny z ZSRR; na zachodzie — premier Churchill zapowiedział wielkie ziemno-wodne operacje, inwazję.

Nie wiemy, gdzie następny akt będzie się odbywać. Czy będą to fiordy i śnieżne szczyty Norwegii, gdy podniesie się kurtyna? Czy może ojczyzna wielkiego Korsykanina? A może znów usłyszymy nazwy legendarnej i bohaterskiej Grecji, w odwrotnym tym razem porządku powtarzane: Kreta, Sparta i Korynt, Ateny, Olimp i Saloniki?

Nie wiemy. Ale czekamy wszyscy. My, nasi w Kraju, Sojusznicy i — wrogowie. Czekamy i nadsłuchujemy, gdzie w Europie znów zagrają po raz pierwszy po trzech latach armaty i wyglądamy miejsca, gdzie szczęśliwi ludzie po raz pierwszy będą mogli znów wywiesić swoje narodowe sztandary na powitanie wkraczających wojsk alianckich. Czy to będą flagi francuskie, belgijskie, holenderskie? I zaraz po tym sztandary biało-czerwone?

Nie wiemy. Ale w tym nasza i Europy nadzieja.

* * *

Inwazja — oto tytuł dla drugiej fazy wojny, znamionujący w powszechnej opinii to, co m u s i nastąpić nieuchronnie, jeżeli wojna nie ma się przedłużyć o długie jeszcze lata i nie ma się zakończyć pokojem kompromisowym. Europejska twierdza Hitlera musi być zaatakowana bezpośrednio, gdyż jest zbyt wielka, zasobna w ludzi i materiały, aby mogła być zdobyta samym tylko oblężeniem i bombardowaniem. Powiedzmy otwarcie — twierdza europejska jest dobrze administrowana pod względem wojskowym, a niemieckie kierownictwo wykazuje dużą determinację w prowadzeniu wojny na wyczerpanie, gdy zawiodły plany *"Blitzkriegu."* Jeśli kierownictwo niemieckie nie ma już, bo mieć nie może, żadnej nadziei uzyskania kompletnego zwycięstwa i bezwarunkowej kapitulacji wszystkich przeciwników, to rzecz jasna, rozporządza jeszcze środkami na przygotowanie innego rozwiązania: "pokoju honorowego." Istotą zagadnienia jest nie dać mu na to czasu. Tak się wydaje nam, ludziom z kontynentu. Tak też niewątpliwie myśli, pisze i propaguje przez radio we wszystkich językach świata Rosja Sowiecka, żądając przyśpieszenia drugiego frontu na zachodzie.

Czy tak samo myślą Alianci na zachodzie, od których zależy w y k o n a n i e planu, t.zn. przeprowadzenie wielkiej operacji desantowej w Europie? Sądząc z oświadczeń kierowników politycznych Wielkiej Brytanii i Ameryki oraz na podstawie licznych głosów prasy wszystkich odłamów — niewątpliwie tak. Wszyscy zgodnie twierdzą, że jedynym rozwiązaniem i nieuniknionym następstwem obecnej sytuacji strategicznej jest ofensywa Aliantów na Europę.

Głosy prasy brytyjskiej, co do której nie może być wątpliwości, że reprezentuje rzeczywistą opinię publiczną, a nie jest tylko wyrazem t.zw. "inspiracji rządowej," są bardzo znamienne. Świadczą bowiem o odruchowej gotowości społeczeństwa do poniesienia strat, jakie spowoduje operacja desantowa i dalszych, które są nieuchronne w razie powstania drugiego aktywnego frontu w Europie. Straty te, rzecz pewna, będą wielkie, i nie będą stać w żadnym stosunku do strat dotychczas poniesionych.

Dla porównania, jakie cyfry strat mogą być kalkulowane, możemy przytoczyć dwie cyfry. W ciągu pierwszych trzech lat wojny armia brytyjska ponosiła przeciętne straty 15.000 ludzi miesięcznie, przy czym cyfra ta obejmuje zabitych, zaginionych, jeńców i wszystkich rannych, z których poważny procent po wyleczeniu powraca do służby. Armia niemiecka w ciągu dwuletniej kampanii ofensywnej na wschodzie traciła b e z p o w r o t n i e około 250.000 ludzi miesięcznie, w samych tylko zabitych, jeńcach, zaginionych i inwalidach.



Ćwiczenia inwazyjne polskich spadochroniarzy

To też stosunek do zagadnienia o d p o w i e d z i a l n y c h za kierownictwo wojną polityków na zachodzie jest bardziej powściągliwy. Gdy społeczeństwo tylko rozumie i odczuwa potrzebę akcji, kierownicy muszą oprócz tego o b l i c z a ć wszystkie za i przeciw. Kierownictwo bowiem musi być przewidujące i działać według planu, uwzględniającego nie tylko najbliższe, oczywiste i niewątpliwe momenty, ale również zdarzenia i ich skutki w odległej przyszłości, których obraz kształtuje się tylko w wyobraźni genialnych twórców zwycięstwa, a jest niedostępny szaremu człowiekowi z ulicy.

Operacja desantowa, w skali odpowiadającej jej celowi, to jest zwycięskiemu pochodowi w głąb Europy, jest przedsięwzięciem niezwykle trudnym, bez precedensu w historii wojen. To też odpowiedzialni kierownicy zalecają cierpliwość, ostrzegają przed możliwymi niepowodzeniami, uprzedzają, że operacja taka kosztować będzie wielkie ofiary ludzkie i wymagać będzie wielkiego wysiłku materialnego. Skomplikowane przygotowania wymagają przede wszystkim dużej ilości czasu.

Musimy rozumieć, że kierownictwo alianckie, zamierzając wielką operację desantową, nie może ograniczyć się do przygotowania tylko pierwszej fazy, t.zn. samego lądowania. Aczkolwiek desant sam w sobie jest już działaniem bardzo trudnym i kosztownym, biorąc pod uwagę ilość sił i środków potrzebnych dla jego przeprowadzenia, to przecież jest on zaledwie koniecznym w s t ę p e m. Trzeba bowiem nie tylko "zaczepić się" o teren, ale utrzymać się na nim wobec skoncentrowanych ataków napływających rezerw nieprzyjaciela, ataków z lądu, powietrza i morza.

Więcej — nie można długo stać na miejscu; pierwsze powodzenie — udane lądowanie — trzeba jak najszybciej rozwinąć, rozszerzyć utworzony front, maszerować naprzód i na boki. Trzeba podążać za nieprzyjacielem, jeżeli zastosuje taktykę opóźniania i uchylania się od bitwy w niedogodnych dla niego warunkach. Trzeba zgromadzić, t.zn. przewieźć z bardzo odległych baz morzem, kolejami i samochodami c a ł e a r m i e, trzeba je zaopatrzyć w żywność i amunicję, zapewnić ewakuację rannych. Wszystko to trzeba wykonać na obszarze, który bez wątpienia będzie gruntownie zniszczony przez nieprzyjaciela, na terenie pozbawionym wszelkich miejscowych środków komunikacji, w dodatku na obszarze zamieszkałym przez ludność, której — czy jest przyjacielska czy wroga — trzeba zapewnić wyżywienie.

Są to zagadnienia, których nie da się żadnym sposobem pominąć, ani nawet potraktować jako drugorzędne. W każdym z nich bowiem kryje się niebezpieczeństwo niepowodzenia całej operacji, na końcu zaś każdego nieudanego desantu jest katastrofa, tym większa, im rozleglejsze były cele desantu, im większe zaangażowano siły.

W każdym działaniu wojskowym jest pewna doza ryzyka; nie da się tego ryzyka nigdy całkowicie uniknąć. Gdy jednak w grę wchodzą losy całej kampanii, być może nawet całego planu i wyniku wojny, jest rzeczą zrozumiałą, że kierownictwo musi zachować szczególnie dużą ostrożność w planowaniu i przygotowaniu takiego działania. Jeżeli więc mowa o desancie w Europie, którego celem ma być drugi front, to jest to operacja nie dopuszczająca d u ż e g o procentu ryzyka. Rozumiemy bowiem, że nieudanie się takiej operacji pociągnęłoby za sobą olbrzymie następstwa wojskowe i polityczne, których nie trzeba tutaj chyba omawiać. Kierownictwo niemieckie bodaj niczego bardziej by sobie nie życzyło, jak właśnie przedwczesnej i nieprzygotowanej należycie inwazji Aliantów na zachodzie. Rozwiązało by to Niemcom ręce na zachodzie na bardzo długie miesiące, może na lata całe, czyli na czas potrzebny Niemcom na załatwienie w ten czy w inny sposób sprawy wojny na wschodzie.

Jeżeli chodzi o front wschodni, dotąd wiążący większość sił niemieckich, to sama m o ż l i w o ś ć inwazji Aliantów, która realnie powstała po rozgromieniu armii niemiecko-włoskich w Tunisie, spowodowała zwłokę w ofensywie niemieckiej na wschodzie. Na tę postawę Niemców na wschodzie złożył się cały szereg innych jeszcze przyczyn, z których za najważniejszą uważalibyśmy przejściowy kryzys rezerw ludzkich Niemiec. W każdym razie wiemy, że groźba inwazji na zachodzie nie tylko wstrzymała dalsze przerzucanie jednostek niemieckich z zachodu na wschód, ale zmusiła Niemców do skoncentrowania we Francji, we Włoszech i na Bałkanach około 1/4 ogólnych sił lądowych, nie licząc ewentualnych rezerw strategicznych, które Niemcy muszą mieć w samej Rzeszy. Znaczna część tych sił byłaby dzisiaj na wschodzie i prawdopodobnie brałaby udział w ofensywie.

Dzięki temu sowiecki front przeciwniemiecki niewątpliwie doznaje dziś dużej ulgi, ulgi istotnej w warunkach sowieckich, gdyż pozwala armii czerwonej zebrać siły po zwycięskiej kampanii zimowej, która była bardzo kosztowna — dla obydwu stron. Położenie wojskowe na wschodzie jest obecnie korzystne dla strony sowieckiej. Dwuletnia kampania na wschodzie, prowadzona przez obydwie strony bez oglądania się na straty ludzkie i materialne, w końcu spowodowała wyczerpanie się słabszej liczebnie strony Niemców — i konieczność zmiany przez nich sposobu prowadzenia wojny z ZSRR, do czego zresztą Niemcy wyraźnie przyznają się. "Nie można takiego przeciwnika jak ZSRR powalić jednym ciosem. Stało się to dla nas jasne już pod koniec pierwszego dnia walki. Trzeba iść krok po kroku" /gen. Dittmar/. Gdy po dwóch latach ofensywnej strategii na wschodzie i po kilkakrotnych zapowiedziach Hitlera, że właśnie zadawany jest "rozstrzygający" cios — z ust przedstawiciela niemieckiej kwatery głównej padają takie słowa, to rozumiemy doskonale, co to znaczy.

Jeżeli więc ze strony sowieckiej słychać jeszcze i teraz sugestie odnośnie przyśpieszenia drugiego frontu, to rozumiemy, że nie jest to tylko naturalne wszystkim wojującym dążenie do przyśpieszenia końca wojny, ale i nie mniej naturalne dążenie do przerzucenia na barki sojuszników większej części ciężaru strat, które dotąd ponosiły Sowiety.

Sprawa rozłożenia wysiłku wojennego między sojusznikami była w każdej wojnie niezmiernie delikatna. Jest ona szczególnie trudna w obecnej wojnie, gdy Anglosasi mają dwie wielkie wojny, na dwóch odległych teatrach — w Europie i na Pacyfiku, a ich sojusznik, ZSRR, tylko jedną, w dodatku ograniczoną do lądu i powietrza, gdy Anglosasi wkładać muszą olbrzymi, choć mało rzucający się w oczy wysiłek w wojnę morską.

W całym tym zagadnieniu inne jeszcze czynniki odgrywają wielką rolę. Jednym z nich jest dążenie do zachowania jak największych sił pod koniec wojny, gdyż to będzie decydować o ostatecznym układzie sił, a więc o warunkach pokoju.

* * *

Rozważyliśmy wyżej kilka tylko spraw związanych z drugą fazą wojny i spodziewaną inwazją Aliantów. Naszym zdaniem są one istotniejsze od czysto-operacyjnych, jakimi są kierunki i sposób wykonania desantów i utworzenia drugiego frontu. Ponad to nie sądzimy, aby ktokolwiek poza bardzo ścisłym gronem powołanych do planowania kampanii mógł rozporządzać obecnie wszystkimi potrzebnymi danymi do takich operacyjnych rozważań. Co najmniej trzeba znać siły własne i przeciwnika, ich obecne rozłożenie, możliwości przerzucania, t.j. wydajność kolei i tonażu morskiego, możliwości zaopatrywania i t.p. — wszystko osobno, a potem w powiązaniu działań sił lądowych, powietrznych i morskich . . . Jest to prawdziwy labirynt cyfr, przewidywań obliczalnych i intuicyjnych domysłów — łamigłówka trudna do rozwiązania zapewne dla wielkich sztabów złożonych z fachowców wojskowych, cóż dopiero dla dziennikarzy!

Nie będziemy więc zgadywać: Sardynia, Korsyka, Sycylia, czy Baleary, Italia, Bałkany, Francja czy Norwegia.

Każdy z tych kierunków ma swoje zalety i nie mniejszą ilość stron ujemnych. Wszędzie w grę wchodzi najmniej opanowany przez technikę wojska lądowego żywioł — w o d a, którą trzeba przebyć pod bombami samolotów, torpedami okrętów podwodnych, pociskami artylerii okrętowej i dalekonośnej artylerii nadbrzeżnej. Wszędzie jest niegościnny brzeg, rzadziej dogodne płaskie plaże, częściej — pionowe ściany nadmorskich skał, bronione ogniem artylerii, karabinów maszynowych, drutami kolczastymi, murami i rowami przeciwczołgowymi, polami minowymi. Zaskoczenie przeciwnika praktycznie jest niemożliwe.

Wszystko to stwarza nie tylko trudności w planowaniu działania przez dowódców, ale narzuca wyjątkowe wymagania żołnierzowi przy wykonywaniu najlepiej nawet pomyślanej i wyposażonej w środki techniczne operacji desantowej. Żołnierz musi wykazać determinację i odwagę w czasie desantu większą, niż przeciętnie wymaga się od niego w jakimkolwiek innym działaniu.

To też dyskutując o przyszłej ofensywie na Europę, trzeba pamiętać nie tylko o trudnej i odpowiedzialnej decyzji kierowników, ale w co najmniej równym stopniu o roli wykonawcy — ż o ł n i e r z a, od niego bowiem zależy zasadniczo powodzenie całego planu. Jakiekolwiek szczegółowe wnioski można wyprowadzić z doświadczeń uzyskanych w czasie raidów na różne wybrzeża, z których szczytowym punktem jest pamiętny wypad na Dieppe, oraz ze sposobu opanowania Pantellarii i Lampeduzy — jest jasne, że każda większa operacja desantowa spotka się ze zdecydowanym oporem Niemców, a prawdopodobnie Włochów, którzy na własnej ziemi, w dodatku pilnowani przez Niemców, będą się bili dobrze. Żołnierza alianckiego czeka więc ciężka próba. Nie mniejsza próba czeka narody, z których krwi i kości żołnierz ten pochodzi.

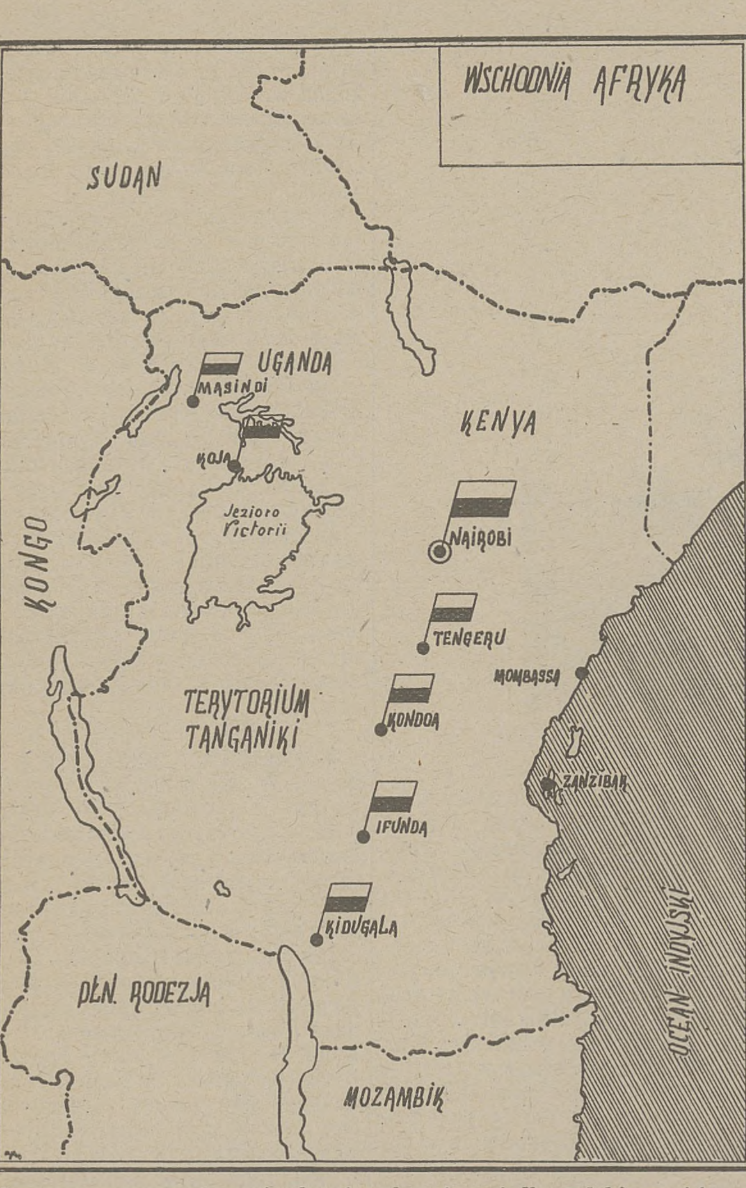
Wierzymy, że próbę tę i żołnierz i narody przetrzymają zwycięsko. I bądźmy cierpliwi.

BRONISŁAW NOWICKI

Ćwiczenia inwazyjne polskich "commandosów"



NA TUŁACZYCH SZLAKACH: POLACY W AFRYCE WSCHODNIEJ



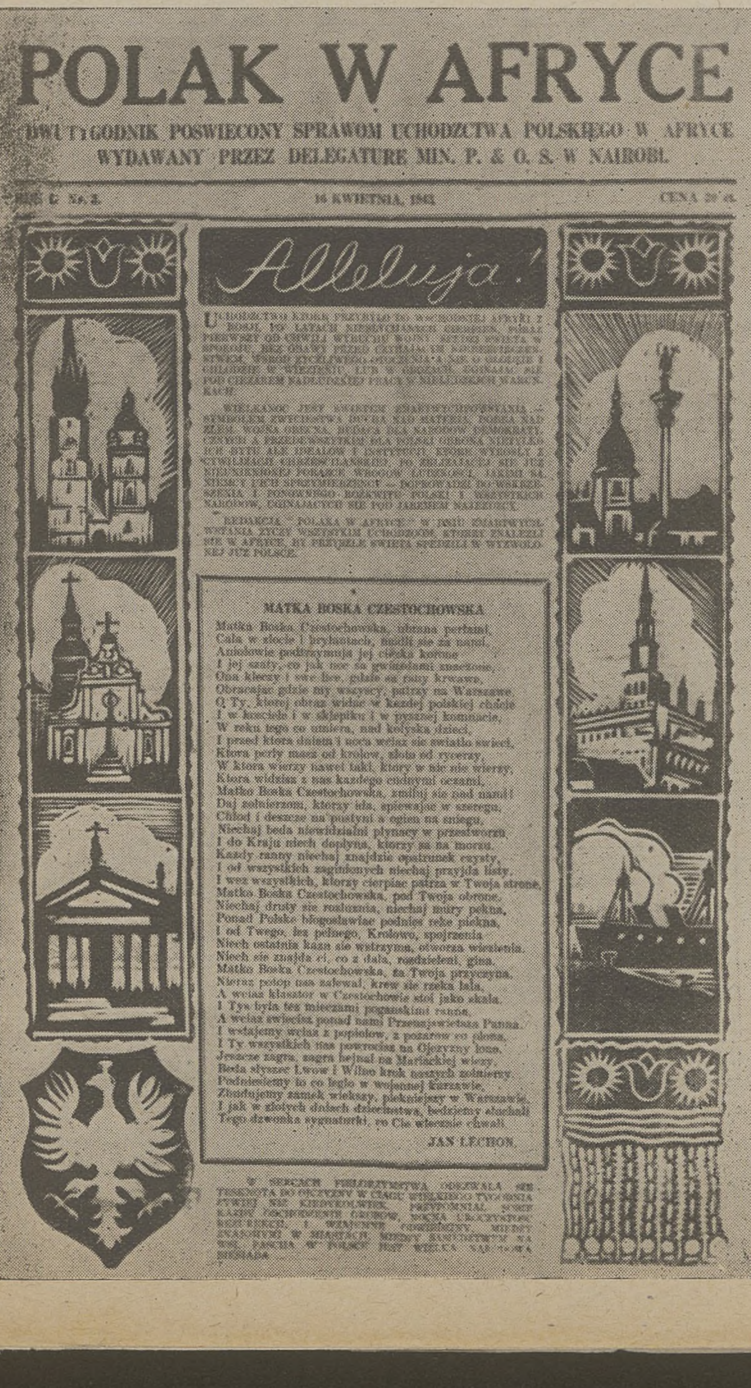
Nazwy oznaczone chorągiewkami wskazują osiedla polskie w Afryce Wschodniej; w Nairobi znajduje się delegatura Ministerstwa Opieki Społecznej

ODPORNI I URZECZENI

Spotykałem w Afryce Wschodniej dwa typy Anglików. Jedni z nich, których zapędziła tam wojna, tkwili zwykle w jednym z portowych miast zwłaszcza w ogromnie obecnie rozbudowującej się Mombasie — sądzę, że nie zdradzam tajemnic wojskowych, bo czytałem o tym w angielskiej gazecie — i wpadają od czasu do czasu na urlop do Nairobi, stolicy Afryki Wschodniej, liczącej aż kilka tysięcy Europejczyków. Drudzy zasiedzieli się w Afryce od szeregu lat.

Ci pierwsi, mówiąc o Afryce, wzdychali do Anglii czy Szkocji i zazdrościli mi szczerze, że losy tam mnie niosą. Afrykę określali krótko: "*damn it.*" Właściwie mówiąc jednak niewiele z niej widzieli. Oglądali ją przede wszystkim z okien wagonu, skąd zresztą widzi się z reguły — zwłaszcza pomiędzy Mombasą a Nairobi — stada zebr, strusi, nieprzeliczone gromady antylop i bodaj kilka żyrafich rodzin /strasznie śmieszne są małe żyrafy/ o kilkadziesiąt, a nawet kilkanaście metrów od toru. Urlopy spędzali przeważnie w Nairobi. W Nairobi zaś godziny drink'a trwają wprawdzie od 6-ej do 10-ej, ale praktycznie o 8-ej nie ma już ani whisky ani piwa, bo cała dzienna porcja jest już w żołądkach konsumentów i co najwyżej, i to nie zawsze, można pocieszać się ginem. A poza tym cóż? Kilka kin, do których bilety trzeba kupować na dzień naprzód, kilka dancingów, kończących się punktualnie o 12-ej odegraniem hymnu. I koniec, kropka. Trzeba iść spać.

Stronica pisma dla uchodźców polskich, wydawanego w Nairobi


POLAK W AFRYCE

Alleluja!

Ale ci drudzy, ci co widzieli głąb Afryki Wschodniej, byli w "buszu," w dżungli, gdzie można chodzić tylko ścieżkami przetartymi przez słonie, bo gdzie indziej gąszcz nie puszcza ani na krok, ci co napawali się czarem jezior Naivasha, Wiktorii i Alberta, patrzyli na śnieżne olbrzymy Kibu i Mawenzi jak zaciągają wieczorem wełnistą kołdrę chmur na głowy rozczerwienione zachodem /jakież piękne organy są w małym kościółku pod Kilimandżaro!/ — ci mówią inaczej. "*This is a fascinating country.*" Kto tu trochę posiedzi i wczuje się w atmosferę tego kraju — zostaje. Jeśli musi wyjechać — tęskni.

Byłem w Afryce Wschodniej cztery miesiące, osiadłszy tam po drodze do Londynu trochę jak statek na mieliźnie. Tak się złożyło, że musiałem przejechać wzdłuż i wszerz Tanganikę, Kenyę i Ugandę. Wszystkimi możliwymi środkami komunikacji od statku na Nilu do "*pedes apostolorum*" /to ostatnie, na szczęście krótko, ale za to w dżungli/. Daleki jestem od twierdzenia, że ją znam więcej, niż powierzchownie. Ale to wystarczyło: urzekła mnie. Nie zapomnę o niej nigdy i jeśli kiedykolwiek będzie można, choćby na krótko, wrócę. Przyjechałem przecież do Londynu, który kochałem zawsze, jak starego przyjaciela /Paryż, jak przyjaciółkę/, a gdy w Kensington Garden zaleci mnie woń oleandrów, staję jak wryty i "z d a m i s i ę, ż e w i d z ę — g d z i e ? — p r z e d o c z y m a m e j d u s z y" orgię tropikalnych kwiatów i pnączów, lub wachlarze palm na tle księżyca o sierpie leżącym poziomo.

POLSKA POŚRODKU AFRYKAŃSKIEJ DŻUNGLI

Bo, poza wszystkim innym, egzotyczność Afryki splotła się w mej duszy z dziwnie swojską nutą. Po czterech latach wygnania odczułem tam po raz pierwszy . . . atmosferę polskiej wsi. Nie zapomnę nigdy pierwszego wieczoru w Masindi, w polskim osiedlu w głębi Ugandy, położonym na skraju odwiecznej, podzwrotnikowej puszczy.

Chaty słomą kryte przycupnęły w mroku po obu stronach drogi. Na przyzbach siedzą niewyraźnie rysujące się postacie. Wieczorna pogwarka, chwilami przerywana śmiechem. Ktoś podśpiewuje "Gęsi za wodą" . . . Na tle dolatującej z odległego sierocińca pieśni "Wszystkie nasze dzienne sprawy," w której wybija się jakiś dziecięcy sopranik, daje to swoistą kakofonię. Gdzieś z boku przeciągłe wołanie: "Maciuś, a pódź-ino tu, Ma-aciuś." Po drodze spacerują dziewczęta, trzymając się pod rękę. Gromadka ich siedzi też pod jednym z drzew, stojących pomiędzy chatami, w mroku prawie już zupełnym i widocznie opowiada sobie jakieś panieńskie sekrety. W ogródkach, które są przed każdą chatą, rosną słoneczniki i malwy . . .

Człowiek przystaje i serce zaczyna mu walić młotem. Pod sugestywnym wpływem nocy, na moment, wszystko wydaje się możliwe . . . I trzeba dopiero podnieść oczy w górę, zobaczyć strzępiaste czuby palm, podwiązany pod brodę sierpem księżyc, wieńce ogni płonących na wzgórzach /murzyni wypalają co nocy dżunglę/, wsłuchać się w dalekie krzyki małp — żeby się zbudzić ze snu do rzeczywistości.

Ale i w rzeczywistości Afryka wschodnia jest dzisiaj jak gdyby egzotyczną częścią Polski. Czy wiecie Państwo, że Polacy stanowią tam obecnie większość europejskiej ludności? Anglicy w Afryce śmieją się, że gdyby przeprowadzić plebiscyt, dostalibyśmy Ugandę i Tanganikę już teraz, jak amen w pacierzu. A niedługo to samo będzie i z południowymi prowincjami.

Bo proszę: stolica Afryki Wschodniej, Nairobi, liczy około 2.000 Europejczyków — nasze największe osiedle liczy 3.500. Stolica Ugandy, Kampala, ma około 800 Europejczyków — obok jest polskie osiedle Koja o ludności dwukrotnie liczniejszej. W sumie jest tam na wszystkich terenach około 12.000 naszej ludności, a ma się znaleźć dwadzieścia kilka tysięcy. To już jest coś.

ZIEMIA NIEZNANA

O tej afrykańskiej Polsce mam Państwu opowiadać. Z góry uprzedzam, że nie uważam się za żadnego jej znawcę. Proszę więc zbyt wiele nie oczekiwać. Podam po prostu trochę faktów i trochę wrażeń. Proszono mnie, więc chętnie to czynię. Chociaż pisano już o afrykańskich osiedlach, zapewne lepiej ode mnie, uważam, że nawet powtórzenie pewnych rzeczy nie zaszkodzi. Bo nie tylko na szerokim świecie, wśród ludzi nam życzliwych, ale nawet w naszym własnym społeczeństwie na obszarze Wielkiej Brytanii i Wschodu, wie się o afrykańskim uchodźstwie jeszcze o wiele za mało.

I tak n.p. z listów otrzymywanych przez Delegaturę Ministerstwa Opieki Społecznej od poważnych polsko-amerykańskich instytucji, wynika, iż w Ameryce wyobrażają sobie, że ludność nasza boryka się w dzikiej Afryce ze strasznymi siłami przyrody, a tu i ówdzie jakaś miłosierna instytucja nimi się opiekuje. Pewna poczciwa amerykańska rodaczka wie już, że opiekują się naszymi uchodźcami zarówno nasze, jak i angielskie władze, ale zapytuje telegraficznie, ile potrzeba namiotów i worów do spania.

Odpowiedziano jej, że potrzeba, ale nie worów i namiotów, lecz książek dla bibliotek i czytelni, kajetów, ołówków, piór, farb dla szkół, kompletów narzędzi stolarskich, ślusarskich, ciesielskich, szewskich. Przydałaby się też większa ilość butów skórzanych, typu noszonego u nas w zimie.

Ale po co szukać przykładów za oceanem. Opowiem pewną historyjkę.

Ma przyjechać ktoś ze stolicy. Do Afryki, pomiędzy dzikie murzyny. W pustynię i puszczę. Dostajemy wiadomość, żeby zakupić łóżko polowe, namiot i t.p. rekwizyty wyprawy Stanley'owskiej w głąb Czarnego Lądu. Mrugamy chytrze jeden do drugiego i kropimy depeszę, że wszystko gotowe, przyjeżdżać. Ale nie kupujemy nic. Tym milsza będzie niespodzianka dla nowego przybysza. I mamy rację. Z zadowoloną miną dojeżdża do miejsca swego przeznaczenia doskonałym pociągiem z miejscami sypialnymi i wagonem restauracyjnym, zamieszkuje w doskonałym hotelu urządzonym z wszelkim komfortem i śmieje się razem z nami, żeśmy go nabrali. Tak, tak, Afryka dzisiejsza, to już nie ten Czarny Ląd, przejmujący dreszczem, o którym czytaliśmy w dzieciństwie. Cywilizacja, cywilizacja . . .

SKŁAD KOLONII POLSKIEJ I WARUNKI OSIEDLENIA

Ale przejdźmy do rzeczy. Zacznijmy od podania garści faktów. Ogólna ilość uchodźców /stan z kwietnia 1943 r./ wynosi przeszło 12.000. Mężczyzn w tym niecałe 10 procent, a połowa z nich to inwalidzi i ludzie starzy, 44 procent przypada na kobiety, a około 47 na dzieci. Na ogół jest to ludność chłopska ze wschodnich połaci Polski. Procent inteligencji niewielki: kilkunastu inżynierów, kilku prawników i sędziów, poza tym — nauczycielki i nauczyciele, przeważnie szkół powszechnych, urzędnicy, kupcy. Około 20 lekarzy i oczywiście siostry. Rozmieszczeni są oni przede wszystkim w Tanganice i Ugandzie. Ostatnie partie przychodzą do północnej i południowej Rodezji, gdzie jest już łącznie około dwa i pół tysiąca osób.

A teraz — jakżeż ci ludzie mieszkają, żyją, co robią?

Zgrupowani są w osiedlach, pozostających pod kierownictwem polsko-angielskim. Oficjalnie stoi na czele obozu angielski urzędnik t.zw. "*Camp Commandant*" /czynniki polskie w Afryce forsują określenie "*settlement*" — odcinające się kompletnie od nazwy obozów internowanych/. Polecenia *Camp Commandant'a* są uzgadniane z polskim kierownikiem osiedla */Polish Settlement Leader/* i ten ostatni podaje je do wiadomości ludności. W osiedlach działają urzędnicy angielscy obok polskich.

Pewne sprawy jak n.p. dostarczanie osiedlom żywności są wyłącznie w rękach angielskich. Cała jednak wewnętrzna organizacja obozu, sprawy kulturalno-oświatowe, sprawy pracy na terenie osiedla, bezpośrednia opieka nad ludnością, to wszystko — należy do polskiego kierownictwa. Kierownicy osiedli otrzymują od delegata Min. Pracy i O.S. w Nairobi szczegółowe instrukcje, a nadzór nad ich wykonaniem sprawują zastępcy delegata, których działalność rozciąga się na każde z poszczególnych terytoriów /n.p. Uganda/. W instrukcjach ogólnych opracowanych przez Delegaturę M.O.S. ujęty jest również rozdział kompetencyj pomiędzy polskimi i angielskimi władzami osiedla.

Niezależnie od tego, opiekują się osiedlami komitety pań angielskich, wkładając w to bardzo dużo serca. Na całym obszarze Afryki działa również Polski Czerwony Krzyż z centralą w Nairobi. Konsulaty R.P. istniejące na wszystkich terytoriach, prowadzą zewnętrzną stronę działalności opieki wobec władz angielskich.

JAK WYGLĄDAJĄ I ŻYJĄ OSIEDLA

Wielkość poszczególnych osiedli waha się obecnie od czterystu do trzech i pół tysiąca mieszkańców. Zasadniczym typem budowli mieszkalnych są chaty, mające szkielet z drewnianych żerdzi oblepionych błotem, a dachy kryte słomą, bananowymi liśćmi i miejscową trawą. Ten ostatni typ krycia dachów, znacznie gorszy — bo niegwarantujący nieprzeciekania w czasie pór deszczowych — jest stosowany tylko z konieczności tam, gdzie niepodobna dostać innego materiału. Obecnie usuwa się go zupełnie. Ideałem typu mieszkalnego, do którego się dąży jest trzyizbowy domek: środek — wspólna jadalnia, izby boczne — przeznaczone dla dwu małych rodzin. Rodziny większe, zajmują cały domek. W niektórych osiedlach domki są zbudowane z cegieł robionych z błota i suszonych na słońcu. Przed każdym domkiem — ogródek kwiatowy i jarzynowy.

System wyżywienia częściowo grupowy /grupowe wspólne kuchnie i jadalnie/, częściowo indywidualny. W ostatnim wypadku, za domkami kuchnie, żywność wydawana na małe grupki /jedna, lub kilka rodzin/, które gotują sobie same. Wyżywienie można określić jako doskonałe, bez najmniejszej przesady. Mięsa — w bród; jarzyny i owoce, cukier, marmelady i t.p. Poza tym kantyny osiedla sprzedają słodycze, owoce i napoje chłodzące. Ludność *poprawia się* na zdrowiu i wyglądzie w sposób widoczny, a dzieciaki po prostu pęcznieją w oczach.

Jeśli idzie o ogólny stan chat, nie nazwałbym go jeszcze zadawalniającym. Było dużo kłopotów z przeciekaniem dachów, podmywaniem domków przez wodę deszczową, które nieraz dały powody do alarmów, odbijających się szerokim echem i o Londyn. Ale nie tak bardzo groźnych w ciepłej, afrykańskiej rzeczywistości.

Powód niedomagań mieszkaniowych jest bardzo prosty. Wszystkie prawie osiedla budowały się w głuchej puszczy /odległość od najbliższego miasteczka, przeciętnie, co najmniej 20 mil ang./ — gdzie trzeba było zaczynać od karczowania lasów i krzewów, wycinania i wypalania dzikiej "słoniowej" trawy, wysokiej na kilka metrów i robienia dróg. Roboty prowadzili miejscowi przedsiębiorcy biali rękami murzyńskich robotników, których przy budowie większych osiedli pracowało po 4.000. Ale tempo napływu ludności, zależne od nieznanych i nie mogących się nieraz liczyć ze wszystkim, możliwości wojennego "*shipping'u*" — było stale większe od tempa budowy osiedli. Trzeba było budować z pośpiechem, nieraz doraźnie, po prostu klecić, byle przede wszystkim zapewnić uchodźcom dach nad głową.

Stąd obecna wielka fala przebudowywania, a nawet budowania na nowo na długą metę. Z tego co wiem, nie sądzę, aby przed połową jesieni można mówić, że wszyscy ludzie mieszkają względnie dobrze. W przebudowie biorą zresztą teraz udział zorganizowane ekipy naszych własnych ludzi w coraz większym zakresie.

ZAOPATRZENIE W ODZIEŻ I OBUWIE

Ubrania i suknie wydaje się ludziom z naszych magazynów w osiedlach. Oczywiście, że nie są to paryskie modele, ale ludność wygląda przyzwoicie. Częściowo szyje się suknie i bieliznę w zorganizowanych naszych szwalniach. Stan najlepiej charakteryzuje następujące autentyczne wydarzenie.

Pomiędzy wydawaną w jednym z osiedli bielizną były i wcale ładne jedwabne komplety damskie. Zwiedzającemu osiedle delegatowi M.O.S. wręczono z tej okazji petycję "żądającą jedwabnej bielizny dla wszystkich" a nie tylko dla wybranych /w gruncie rzeczy przypadkowych/ szczęśliwców. Petycja była podpisana nie tylko nazwiskami, ale i krzyżykami . . . Tragiczne, prawda?

Z butami jest gorzej. Typ obuwia przewiewny, używany, zwłaszcza przez kobiety, na Bliskim Wschodzie i stamtąd przysyłany — nie odpowiada afrykańskim warunkom. Plagą wszystkich osiedli jest *pchła piaskowa* wielkości główki od szpilki, wciskająca się w obuwie i składająca jajeczka, zwłaszcza pod paznokciami. Z początku wygląda to jak mała czarna plamka pod skórą, mało widoczna i bezbolesna. Ale jajeczka rozwijają się, tworzą otorbienia i czasem trzeba kończyć zdejmowaniem paznokcia. Można tych t.zw. *jigger'ów* uniknąć przez bardzo systematyczne, codzienne mycie nóg ciepłą wodą i wydłubywanie świeżo tworzących się torebek.

Wydaje się w tym kierunku dokładne i naglące instrukcje już na statkach po przybyciu do portu. Ale ludność nasza "nie wierzy, aż zmierzy," i nie bierze tego zbytnio na serio. Gdy prowadziłem raz transport naszej ludności w zastępstwie angielskiego urzędnika z Mombasy w głąb Ugandy, musiałem uganiać się za chłopakami, a nawet dorosłymi, którzy wiali mi na bosaka z wagonów na stację, żeby nareszcie stąpić własną nogą na afrykański grunt. Przekonali się, że miałem rację, ale po niewczasie.

Jest rzeczą zrozumiałą, że w warunkach wojennych, przy obciążeniu fabryk robotą dla wojska, nie łatwo jest zdobyć i dowieźć szybko odpowiednie obuwie. I czasem musi się brać to, co jest. Wiadomo przecie, że nikt nie wywoził dobrych butów z Rosji, o ile w ogóle miał jakiekolwiek . . . I polskie i angielskie czynniki robią co mogą, ale sytuacja jest ciągle daleka od zadowalniającej.

WARUNKI KLIMATYCZNE I ZDROWOTNE

A jakżeż znoszą ludzie "straszny" tropikalny klimat? Przede wszystkim — nie tak znowu straszny. Głąb tropikalnej wschodniej połaci Afryki jest wyżyną o klimacie naszego gorącego lata. Noce są nieraz chłodne, a zawsze orzeźwiające. Oczywiście, trzeba wystrzegać się słońca i nosić hełm tropikalny, nie ma mowy o ciężkiej pracy i konieczny jest popołudniowy wypoczynek, "siesta." Ale . . ludzie na ogół nie cierpią od upałów. Ja osobiście muszę się przyznać, że swoje wymarznięte w północno-rosyjskich tajgach kości, wygrzewałem z rozkoszą we wschodnio-afrykańskim klimacie, a w Nairobi /około półtora tysiąca metrów ponad poziom morza/ zaciągałem na siebie trzy koce w nocy i kląłem zimno.

Z chorób wybija się oczywiście na pierwszy plan zimnica, typowa afrykańska choroba, od której wolne nie jest żadne osiedle. Ale ilość chorujących na malarię nie dochodzi do 3 procent ogółu ludności, a w tym jest duży odsetek wypadków zawleczonych z Rosji, przede wszystkim z Uzbekistanu. Do marca b.r. były 4 wypadki śmiertelne zimnicy. Wszystkie pochodzenia rosyjskiego. Ilość lekarzy mniej więcej zadowalniająca, z ilością sióstr, zdaje się, gorzej /prowadzi się kursa fachowe/ ilość leków na ogół nieco poniżej potrzeb.

Opieka dentystyczna katastrofalnie niewystarczająca. Na całą naszą ludność afrykańską było w marcu trzech dentystów i nie było dentystycznego materiału nawet dla nich. A stan uzębienia ludności wyewakuowanej z Rosji można by określić powiedzeniem, że "zjedliśmy zęby na Rosji" . . . Obecnie stan się poprawia.

WARUNKI PRACY

Ale przejdźmy do innej sprawy, bardzo ważnej. Najlepsze nawet warunki mieszkaniowe, najdostatniejsze wyżywienie i odsunięcie od ludności trosk materialnych, jakkolwiek konieczne, nie może być uważane za wystarczające rozwiązanie sprawy życia uchodźców w Afryce. Ażeby być naprawdę człowiekiem, trzeba przecież pracować. Bez pracy nie ma nie tylko kołaczy, ale nie ma i dobrych obywateli. Pobyt tych ludzi w Afryce ma być przygotowaniem do pracy w Ojczyźnie. Jakżeż przedstawia się sprawa zatrudnienia ludności naszej w Afryce w chwili obecniej?

Sprawa to trudna. Ażeby pracować, trzeba mieć narzędzia. A zdobyć narzędzia w dzisiejszych warunkach w Afryce nie jest wcale łatwo. Podam jako przykład, że wysłane z Indyj beczki gwoździ i zwoje drutu, na które wszystkie osiedla czekały z upragnieniem, powędrowały gdzieś i nie można się ich doszukać. Narzędzia stolarskie, ślusarskie i szewskie dla naszych osiedli przyszły, ale skutkiem jakiś koniecznych a nieoczekiwanych zmian w kursach statków wylądowały . . . w Unii Południowo-Afrykańskiej, skąd je dopiero trzeba będzie transportować. Tylko jakieś tam głupie kilka tysięcy mil . . . Niewystarczająca jest nawet ilość prymitywnych narzędzi rolniczych dla uprawy jarzyn. Po mimo najlepszej woli i wysiłków władz angielskich i polskich dostawy idą w tempie zbyt powolnym.

Mimo tę bardzo trudne warunki, mimo trudności w budowie pomieszczeń na warsztaty, udało się jednak coś zrobić. Nieraz przede wszystkim własnym przemysłem, z podziwu godną pomysłowością klecąc wrzeciona, kołowrotki, a nawet warsztaty tkackie. W uprzywilejowanym położeniu są szwalnie i zakłady krawieckie, rozporządzające 130-tu maszynami do szycia. Prawdopodobnie będą one mogły, zaspokoiwszy zupełnie wewnętrzne potrzeby osiedli, pracować nawet na zamówienia zewnętrzne.

Ogółem niezależnie od pracy we własnych ogródkach, która jest obowiązkowa dla wszystkich, jest zajęte w rolnictwie i ogrodnictwie około 500 osób, przy pracach budowlanych w osiedlach około 300 osób, w krawiectwie — około 150, w przetwórniach owocowych — około 80, w stolarstwie — około 50 osób, w tkactwie i przędzalnictwie — około 50 osób. Mniejsze ilości pracują w cegielni, w piekarniach, hafciarniach, pracowniach swetrów i lalek, warsztatach szewskich, przy wyrobie postronków, przy hodowli bydła i drobiu. Razem — pracuje obecnie około 1.300 osób, co wynosi powyżej 1/3 dorosłych zdolnych do pracy.

Praca jest opłacana, daje ludziom niezmiernie ważne poczucie zarabiania na siebie, a nie życia z łaski. Jeśli doliczyć do tej ilości pracujących nauczycieli i nauczycieli, instruktorki, pielęgniarki i ludzi zatrudnionych w administracji osiedla, to pozwoli to, moim zdaniem, oceniać liczbę pracujących na wyżej 50 procent ogółu ludności zdolnej do pracy. Może to raczej liczba zbyt ostrożna. Ale nawet ta liczba, jeśli się weźmie pod uwagę istotnie "afrykańskie" trudności, które miało się do pokonania, powinna być uważana za fakt pocieszający.

Dodaję, że powyższe liczby nie obejmują dwóch i pół tysiąca ludzi przybyłych świeżo /lutym i marcu/ do Rodezji, z której nie mam żadnych danych.

ŻYCIE DUCHOWE

A jak wygląda szkolnictwo? Cóż porabiają dzieci? Czy się uczą?

Uczą się. W niezmiernie trudnych warunkach, mimo kompletnego braku podręczników, dzięki ofiarnej pracy nauczycielstwa, objęto szkolnictwem prawie 4.000 dzieci. Znów oprócz Rodezji, z której nie mam danych. We wszystkich osiedlach istnieją sześcio-klasowe szkoły powszechne. W największym osiedlu — Masindi jest cztero-klasowe gimnazjum, obejmujące przeszło 200 dzieci. W Tengeru dwu-klasowe, obejmujące około 80 dzieci. Czeka się ciągle na podręczniki szkolne, wydrukowane w Palestynie, które miały nadejść w najbliższym czasie, oraz na będące w drodze kilkanaście tysięcy zeszytów, których bardzo brakuje.

Harcerstwo rozwija się pięknie i obejmuje półtora tysiąca młodzieży męskiej i żeńskiej.

Z radością najwyższą trzeba stwierdzić, że zachowanie się, karność i zapał do pracy młodzieży naszej w Afryce Wschodniej stoją na naprawdę wysokim i godnym młodych Polek i Polaków — poziomie. Młodzież nasza stanowi znakomity i skutecznie działający przykład dla starszego pokolenia, które choć z gruntu dobre, jest jednak bezsprzecznie pobytem w Rosji i tułaczką w pewnym stopniu zdemoralizowane i nieprawdopodobnie rozplotkowane. W każdym osiedlu są przykłady burz . . . w szklance wody.

Na ogół jednak, poza wypadkami zawodowych przestępców /"Szpicbródka" jest w Afryce!/ i niestety prostytutek, które w Afryce nie są jeszcze należycie izolowane od spokojnej ludności, ludność ta potrafi odpowiedzieć godnie, jeśli zaapelować do jej poczucia odpowiedzialności, jako grupy reprezentującej Polskę na terenie przyjaznym wprawdzie, ale nieznającym Polaków i sądzącym całość według zachowania się tych, których widzą. I dlatego "burze w szklance wody" cichną po takim apelu.

Polska opieka religijna nad ludnością jest niewystarczająca. Polskich księży jest tylko dwóch, w dwóch największych osiedlach. Gdzie indziej pracują księża włoscy, amerykańscy i inni z okolicznych Misyj Katolickich.

We wszystkich osiedlach wydaje się lokalne gazetki, istnieją świetlice, prowadzi się kursy języka angielskiego, odczyty i pogadanki. Wszędzie są amatorskie teatry /jest i doskonały klown cyrku Staniewskich/ oraz chóry. W niektórych osiedlach są szkoły dokształcające, gospodarcze i zawodowe a w Tengeru kursy dla analfabetów. Najgorsza sytuacja jest pod tym względem w osiedlu Kondoa, niewielkim zresztą, które będzie prawdopodobnie zlikwidowane.

Największymi wydarzeniami w zakresie kulturalno-oświatowym było w ostatnim okresie zainstalowanie głośników radiowych przez władze brytyjskie we wszystkich osiedlach Tanganyiki /można słuchać audycyj polskich nadawanych z Londynu, Kairu i Nairobi/ oraz wydanie przez Delegaturę pierwszego numeru pisma "Polak w Afryce," przyjętego przez zgłodniałą drukowanego polskiego słowa ludność, można powiedzieć bez przesady, z entuzjazmem. Niestety nakład jest za mały. Tylko 2.000 egzemplarzy /papier, papier!/, które muszą obsługiwać i armię naszą na Bliskim Wschodzie, spragnioną wiadomości o swoich rodzinach w Afryce.

* * *

Mój Boże, ależ się rozpisałem! — A mimo to, nie poruszyłem przecież jeszcze wielu, wielu rzeczy. Może wrócę do nich jeszcze kiedyś innym razem.

Ale teraz Big Ben wybija uroczyście północ /zresztą przez radio/. W pokoju duszno od dymu papierosowego, bo okna zasunięte kotarami. Przez jedną tylko wąziutką szczelinkę widać skrawek księżyca. Ale sierp jego nie leży już poziomo. Zagaszę światło, rozchylę szeroko kotary i spojrzę na księżyc. Ustawię w myśli sierp jego poziomo, tak, jak go widać w Afryce. I ulecę myślą do tych drogich przyjaciół, z którymi zżyłem się i pracowałem w dalekiej, jak ogromnie dalekiej, egzotycznej polskiej Afryce.

O tej Afryce się nie zapomina. Wiem, że będę szedł jutro znowu przez aleję Kensington Gardens, że jakichś egzotycznych kwiatów, że znowu zaleci do mnie fala zapachu znowu stanę i będzie mi się wydawało, "ż e w i d z ę . . . g d z i e ? — . . . p r z e d o c z y m a d u s z y m o j e j" — polską Afrykę.

ADAM SKĄPSKI


Budowa osiedla


Osiedle polskie w Koja /Uganda/ na tle jeziora Victoria


Dzieci przed chatą w Masindi /Uganda/


Kuchnia obozowa w Tengeru /Kenya/


Szkoła pod gołym niebem w Ifunda /Tanganika/

Na kontrtorpedowcu

Właściwie nie to, żeby się czuł stary, ale po prostu był znudzony i zmęczony. Patrzył tępo na statki po prawej burcie, rzucał czasami komendy na ster do tuby głosowej, ale myśli były gdzie indziej. I to ciekawe, że gdyby go kto spytał o czym tak myśli, nie mógłby na to odpowiedzieć. No . . . o niczym.

Morze było jak zwykle szare i wzburzone, statki jak zwykle przewracały się z burty na burtę i z rufy na dziób, a z dziobu na rufę, horyzont jak zawsze był daleki i nieco zamglony, okręt się kiwał i kiwał, Jarczak stał oparty jak zwykle o kompas, Szydłowski sygnalista stał jak zwykle w lewym rogu pomostu, oparty wygodnie i pół drzemiący, Wieczornicki—pomocnik oficera nawigacyjnego opowiadał jak zwykle o swoich chorobach żołądkowych i o tym, jak to Anglicy żyją. Więc cóż dziwnego, że się myśli o niczym.

No po prostu nie chce się myśleć i gdyby kto kazał teraz rozumować, to Bogdan nazwałby tego ktosia idiotą, bo to przecie nonsens teraz na oceanie, na tych szarych bałwanach . . . bałwanach—co za głupie słowo, dlaczego za bałwana bije się w mordę? Taki bałwan na morzu to wcale ładnie wygląda, a spróbuj go w mordę uderzyć. Odda i to bardzo silnie. Potrafi walić mocno, czasami to bardzo mocno, na przykład ten reling na dziobie cały pogięty, a falochron . . . Mój Boże, alež to był sztorm, myślałem, że skonam.

—Prawo dziesięć—rzucił do tuby głosowej.

. . . dwa dni trzęsło, dwa dni i trzy noce prawdziwego piekła, najgorsze to były chwile wyłażenia na wachtę. Wstać, wyleźć z koi i bęc prosto na ścianę, a potem w umywalkę, albo w szafkę. Kazik wyleciał z górnej koi i prosto na biurko, i wbił sobie cyrkiel w siedzenie. Ten Kazik to śmieszny chłop. Jednak jak on do tych dziewczyn na lądzie podchodzi. Idealista, a może zakochany. Jedna mu powiedziała, że on jej się podoba, i że go chętnie pocałuje, a jak i to nie poskutkowało, że się chętnie z nim prześpi, a on na to odsunął ją od siebie.

—Wróć na zero . . . słyszycie . . . powiedziałem ster zero . . . tak . . . tak trzymać.

—" Prawo dziesięć dym na horyzoncie "—doleciało z dalocelownika.

—Co jest?—dym na horyżoncie panie poruczniku — ocknął się Szydłowski.

—A jest rzeczywiście . . . o . . . nawet maszt widać . . . drugi . . . trzeci . . . to konwój, to ten konwój, który mamy spotkać.

Ożywił się Jarczak oparty o kompas.

—Dobra. Muszę zameldować dowódcy—podszedł do tuby głosowej.

—Stary śpi—rzucił Jarczak.

—Gdzie? U siebie czy w mesie?

—U siebie—odpowiedział Jarczak nie zmieniając pozycji.

—Panie komandorze . . . — zaczął Bogdan—melduję konwój . . . tak . . . tak jest, ten który mieliśmy . . . tak jest panie komandorze, tak jest . . . Stary kazał dobrze uważać, bo się ściemnia i zaraz wyjdzie na pomost.

Kiedy schodził z wachty, słońce schowało się już było za horyzontem, robiło się stopiowo ciemno. Kapitan Choreć, który go zmieniał na wachcie miał jasne zaspane oczy i odleżały policzek.

—Wódz kazał dobrze uważać, bo się ściemnia—powiedział na odchodnem Bogdan.—Uspokójcie to morze trochę, bo spać nie będzie można.

—Dobrze postaram się . . . przyjąłem wachtę, idź pan na kolację.

—Co na kolację?

Choreć mlasnął wargami i wyrzucił szybko:

—Zupa z trupa i smażone wrzody, wie pan jak zwykle. Słyszał pan *newsy*?

—Nie, ale mogę panu kapitanowi w krótkich słowach opowiedzieć: Siły własne wycofały się na z góry upatrzone stanowiska, zadając nieprzyjacielowi ciężkie straty. Nieprzyjaciel w panice posuwa się wciąż naprzód. Dobrej wachty!

Zszedł do kabiny. Ściągnął buty, rozebrał się, spojrzał do lustra, stwierdził nie wiadomo już po raz który, że łysieje, stuknął się głową w kant górnej koi . . . psia krew znów kiwają . . .

W mesie pół leżąc odpoczywał w fotelu mechanik. Jak zwykle prawa ręka zwisała z palącym się papierosem, a popiół regularnie strzepywał na podłogę wbrew surowej interwencji Zastępcy. W drugim fotelu siedział doktór i czytał. Na kanapie przy burcie leżał Robert i spał. Tak jak zawsze . . . Nazywali tę trójkę *sleeping party*, albo " wolnymi zawodami." Spojrzał po nich tępym, zmęczonym wzrokiem, usiadł do stołu.

—Kolacja—ryknął od stołu.

—Tak jest . . . już idzie — odkrzyknął z bufetu mesowy.

Jarczak jak zwykle zlazł później.

—Wiesz to duży konwój, widać parę destroyerów w eskorcie.

—Niech se jedzie . . .—odburknął Bogdan.

Jarczak rzucił okiem na podane jadło, nasmarował chleb masłem, spojrzał na Bogdana. Bogdan smarował też chleb masłem i popatrywał na Jarczaka.

—Ile godzin jeszcze?

—Myślę, że pojutrze rano będziemy . . . wiatr się wykręca i pójdziemy później z wiatrem.

—Może pocztę dostaniemy, napewno dostaniemy—ożywił się Bogdan.

—Dziesięciodniowa, wyobrażasz, dziesięciodniowa. Ile to papierków najrozmaitszych, a może i listy.—Westchnął ciężko i zabrał się z zapałem do jedzenia.

—Co tam listy—zaoponował Jarczak i zamilkł jak zwykle.

On jest bardzo małomówny—pomyślał Bogdan — czasem, to nie odezwie się całymi godzinami i wreszcie, gdy zrobi jakąś uwagę, to właściwie nie wiadomo o co chodzi. Tak jak wczoraj na przykład: siedział w kącie, palił i myślał. Raptem się uśmiechnął i powiedział: jak ona śmiesznie nóżkami fika . . . Więc oczywiście wszyscy się niesłychanie ożywili. Kto fika i dlaczego? Temat fascynujący, bo o kobiecie. Temat który nawet śpiącego, zmęczonego życiem mechanika potrafił zaciekawić. Okazało się, że tydzień temu widział sześciomiesięczną córeczkę swego przyjaciela. Mechanik spojrzał z wyrzutem i szepnąwszy " idiota " pogrążył się znowu w pół-śnie, w marzeniach. Doktór pokiwał głową i uśmiechnął się. Robert ziewnął od ucha do ucha. Dziwny jest ten Jarczak, ale porządny chłop.

—Oni nie umieją jeździć—zauważył Jarczak powstrzymując zsuwający się talerzyk.

Potem usiedli obaj przy kominku, powyciągali stare czasopisma. Wszystkie już znam na pamięć—zmartwił się Bogdan. Wszystkie już przeglądałem po dziesięć razy. Wlepił wzrok w kominek i tak przesiedział godzinę. Kiedy marynarz zameldował: za dziesięć minut zmiana wachty, zerwali się obaj, przeciągnęli się śpiąco, trzasnęły ręce w stawach i ubrawszy się w kabinie, wyleźli na pomost. Bogdan jak zwykle powiedział: " dzieńdobry." Ciemno już było, pomimo, że księżyc wschodził po prawej burcie i oświetlał czarne sylwetki statków. Rysowały się wyraźnie na tle jaśniejszej połowy horyzontu.

—Tu ma pan komodora, a tu trauler, a tu kolegę . . . destroyera.

Dowódca stał twarzą do kompasu. Ręce miał wsunięte głęboko w kieszenie, czapka zsunięta na czoło. Trząsł się.

—Cóż za ziąb paskudny . . . Kurs 102—zdawał wachtę kapitan Choryć—szybkość w dalszym ciągu 7. Niech pan dobrze uważa, mogą dziś przylecieć, jasną noc będziemy mieli.

I znów minuty zaczęły płynąć, minuty, a potem godziny . . . statki kiwały się z burty na burtę i z dziobu na rufę. I co godzinę trzeba było pozycję do radiostacji przesłać i do sternika parę komend rzucić . . . i myśli były te same, bo gdyby się kto spytał jakie, to Bogdan nie wiedziałby co odpowiedzieć.

Na przykład teraz myśli o tym co to jest myśl. I gdy sobie tak pomyślał o tej myśli, to zaczęły się przesuwać obrazy jak w kinie. I dużo było obrazów, które nosiły nazwę przeszłość-wspomnienia. Parę obrazów przesunęło się z marką: teraźniejszość i parę ze znaczkiem: przyszłość. Te ostatnie były zamglone. A było też parę nijakich. Więc na przykład, gdy patrzył na Lorda, to myślał dlaczego on jest taki chudy i zaraz przychodziło porównanie, " jak śmierć angielska." A z tym porównaniem łączyła się zawsze Mateczka, obraz z matką . . . tam, gdy był jeszcze mały. Matka zawsze używała tego porównania " jak śmierć angielska " i to można było przyczepiać do rozmaitych przymiotników: " chudy jak śmierć angielska," " brzydka jak śmierć angielska," " blada jak śmierć angielska " i t.d.

Mateczka miała inne powiedzonka, które Bogdan bardzo lubił i teraz na ich wspomnienie zawsze się roztkliwiał. " On świata Bożego poza nią nie widzi " . . . Bogdan zawsze sobie wyobrażał, że ona musi być gruba jak piec, jeżeli za nią świata Bożego . . . Pamięta przecież jak mieli jedną służącą, która była brzydka " jak śmierć angielska," albo " jak półtora nieszczęścia," ale miała parę złociszów uciułanych i kiedyś w maju gospodyni naszej kamienicy na Smolnej . . . tak na Smolnej. Dom wychodził na Smolną, a balkon i okna z pokoju dziewczynek na Aleje 3 Maja. Boże, jak to Bogdan lubił obserwować tłumy spacerowiczów w pogodne wiosenne niedziele. Czy tam kiedy wrócę jeszcze?

Trzy dzwonki. Jedzie sygnał z radiostacji: " Możecie spodziewać się ataku samolotów torpedowych." Wzmocnić obserwację.

—Niech pan działa obsadzi—rozkazał dowódca.

Czy wrócę kiedy? Nie chce się wierzyć, że ona w gruzach leży. Po prostu Bogdan nie chce w to wierzyć, bo po co ma te myśli o niej brudzić. Niech zostaną pachnące kwitnącymi bzami, jasne jak poranki na wagarach w parku Paderewskiego, świeże jak rosa w Łazienkach.

—Słychać szum motorów po prawej burcie — melduje działo 2.

—Uwaga prawa burta . . . zawiadomić pom-pom.

Potem znów była cisza i znów minuty płynęły. Przyszedł kapitan Choryć o godzinie dwunastej na zmianę wachty. Konwój po prawej burcie . . . kurs 102 . . szybkość 7 . . . tu komodor . . . a tu trauler . . .

—Dobrze, objąłem. Idź pan spać.

Spać. Może przyśni się Smolna z sztubakami idącymi do Zamojskiego, może przyśni się Nowy Świat . . .

—Niech to jasna cholera alež rzuca . . . Kazik?

—Czego chcesz? — wyjąkał Jarczak z górnej koi.

—Uważaj żebyś dziś nie spadł, bo znów cyrkiel leży na biurku.

JERZY TUMANISZWILI

Na okręcie podwodnym

Nastrój panował smętny. Siedzieliśmy tego wieczora wszyscy razem na okręcie, ale brakowało zwykłych melodii granych w takich wypadkach przez Mariana. Znikły śpiewki, zapodziały się gdzieś po kątach, tak się schowały, że nawet najostrzejsze docinki Rudka nie mogły ich stamtąd wyciągnąć.

—" Bo to jakoś nie tego " — przebąkuje znudzony głos z kąta któregoś ze śpiochów. — " Żeby tak można było przynajmniej golnąć jednego na pociechę, to co innego, ale tak siedzieć, to nawet kląć się już nie chce. Na dodatek ta wściekła ciasnota, która ruszyć się swobodnie nie pozwala."

Baza o kilkaset metrów tylko oddalona wabi swym gwarem, wygodnym pomieszczeniem i zaopatrzoną prawie we wszystko kantyną. Ale nawet tam na dłużej, niż 15 minut nosa nie można wścibić! Już trzeci dzień ma się ku końcowi a tu ciągle powtarzające się słowa . . . pogotowie.

Może jednak coś więcej złożyło się na ten niezbyt miły nastrój " zdychania z nudów," bo przecież wczoraj było jakieś wesołe, pełne śmiechów i gwaru. Mówiąc nawiasem to przyczyną jest wyjście w morze kolegów okrętu podwodnego. Dobrze leciał czas na wspólnych wypadach do pobliskiego miasteczka na " dance." Razem było jakoś raźniej, weselej, a najlepsze to ich cudnie przyrządzone kakao, którym częstowali każdego zachodzącego na pogawędkę.

Kolegowaliśmy z nimi przez kilka tygodni, licząc do kupy wszystkie postoje po powrocie z morza. Ale teraz zawiedli nas, bo jak to inaczej nazwać używając wytwornego języka!? Ich okręt przyszedł później od naszego. Dobił do wolnej burty choć mieliśmy chętkę puścić go do mola, by dał nam wolną drogę do naszego wypadu. Kiwnął nas wtedy, a teraz znowu, wykorzystując chyba swą dogodną pozycję, poszedł na nową operację zostawiając nas na pastwę losu, na czekanie w kolejce.

Noc przeszła spokojnie. Nad ranem sygnał . . . Idziemy. W jednej chwili nawet najbardziej zaspane twarze przemieniły się do niepoznania.

Janek, ten wysoki blondyn o wesołych niebieskich oczach, już wytrzymać nie mógł z radości rozsadzającej mu piersi. Niby nigdy nic, jak to on tylko potrafi, wyszedł gwiżdżąc na pokład, by rzucić okiem na swe wymuskane zabawki — całą broń artyleryjską. Ale aż go zatkało. Przy karabinie maszynowym już siedział Zbyszek sprawdzając czy wszystko dobrze chodzi.

—" Ty smyku jeden, śniadaniaś jeszcze nie jadł, a już smarem się bawisz. Rozwesel się trochę od kiszek, bo i tak zaraz przeczyścimy łuski, by przypadkiem zacięcia nie było."

—" Sam to możeś dla zdrowia na pokład wyszedł, co? Teraz to naiwniaka udajesz " — odciął się Zbyszek, ale zastanowiwszy się trochę, skoczył na pomieszczenie, bo pierwszy na wachtę wstępuje a czasu mało.

Szybko poszły pod pokład wrzucone cumy. Prawa maszyna naprzód. Prawa stop. Lewa wstecz. Prawa pół naprzód. Obie stop, i tak dalej, aż wreszcie idziemy normalnie. Najpierw pracują cicho i spokojnie motory.

Lecz nowa komenda przerywa chwilową ciszę . . . Zastukały Diesl'e. Błękitnawy dym z rur wydechowych przesłonił na chwilę widok znajomych budynków portowych i stojących tam okrętów.

Czerwona tarcza słoneczna leniwie się wznosić poczęła ponad widnokrąg, przebijając z trudem promieniami mgliste opary poranka. Niedługo nawet zarysy portu zniknęły za załomem zostającego za rufą brzegu. Wysoko w górze przeszły dwa bombowce rozpoznane jako angielskie.

Znowu warkot motoru. Tym razem od rufy. Sylwetka jeszcze spowita w oparach poranku, ale słychać dobrze. Pierwszy zameldował Zbyszek. Miał jeszcze ciągle w pamięci poranną utarczkę słowną z kolegą i zaciął się, że się na nim " zemści " za tego " smyka " ! Wyraźna sylwetka zarysowała się w dali, na jakieś 3,000 metrów, ale nie sposób rozpoznać.

Alarm bojowy! Brzęczą stalowe hełmy obsady przeciwlotniczej, stukają podawane w pośpiechu magazynki.

Samolot nie śpieszył się do spotkania. Zawróciwszy w lewo oddalił się nierozpoznany. Minęło kilka minut.

Eeee . . . to pewnie jeden z naszych . . .

—Samolot. Kąt kursowy. Lewo 120 odległość 2.000. Idzie prosto na nas.

Szybki zwrot luf na lewą burtę. Zbliża się . . . 1,500 . . . 1,000 . . .

—" Otworzyć ogień " — szybka komenda z pomostu. Jeszcze nie przebrzmiały słowa a głuchy trzask rozpostarł się nad okrętem. Waliły ciężkie karabiny maszynowe w zawody z " najcięższymi." Jakby w zawody, który pierwszy trafi swym śmiercionośnym pociskiem.

Lecz i nieprzyjaciel nie próżnował. Pociski zatrzeszczały po pokładzie. Zadzwoniły balasty metalicznym głosem. Wachnął Niemiec maszyną, aby uniknąć idących pod niego salw, to też i jego cały ogień poszedł przeważnie w wodę. Przeszedł nad okrętem, zwinął się w zwrocie na skrzydło wyskakując w górę.

—" Psia kość " — stęknął Janek, którego ukłuły w serce nie te śmiesznie syczące, białymi niemal ognikami znaczące się dokoła pociski, które mu niemal tuż koło głowy przeszły. Bolało go to, że źle celował, że wszystkie strzały poszły pod maszynę.

Ale nie czas na martwienie się. Drugi atak. Tym razem nieprzyjacielska maszyna idzie tuż, tuż nad wodą — niemal muskając ją w biegu.

Ścierpła Jankowi skóra. Niby tak marzył, aby spojrzeć własnymi oczami na wroga i mieć satysfakcję walczyć z nim, zmagać się w równej walce, a teraz to mu trochę głupio i pot zimny, kroplisty spływa po skroniach. Prawdę mówiąc, to nie wyobrażał sobie, że będzie stał na odkrytym pokładzie okrętu podwodnego, bez najmniejszej nawet zasłony przed pociskami przeciwnika dominującego i przytłaczającego swą olbrzymią szybkością i zwrotnością. Nie myślał nigdy, że właśnie tak tylko: pocisk za pocisk, karabin maszynowy na podobny u wroga — będzie wyglądało to śmiertelne zmaganie.

Ale czy czas jest myśleć, co z nim się stanie, gdy tylu kolegów złożyło mu swoje życie w ręce?

Zasadzili się przy tylcach aż żyły na rękach i skroniach nabrzmiały. Błysnęło z maszyny. Znowu pociski zrąbały pokład a wiele z nich zawyło odbijając się od metalu . . . Tylko na mniejszą odległość czekali celowniczowie.

Janek pierwszy odgryzł się, ale niestety trochę za wysoko w pierwszej chwili. Prawy magazynek pusty. Tylko kilka pocisków w lewym. Niechże go . . . Ale coś zachrzęściło w maszynie wroga, drzazgi posypały się z ochrony pilota. Dostał . . .

Nie, widocznie tylko osłonę przebiły pociski, bo znowu odszedł.

Szybko rozgorączkowane ręce zmieniały magazynki. Nową serię ich już podano z dołu. Wszystko znowu gotowe . . .

Coś nie wraca! . . . Czyżby dostał? . . .

Mija jedna minuta, druga, już prawie trzecia . . .

Jest! Znowu atakuje! Może myślał, że zaskoczy tym razem? Albo może zdaje mu się, że się bawi z powolnym przeciwnikiem. Zapominał chyba, że to tylko brąk szczęścia nie pozwolił na wsadzenie mu całej serii pocisków w kadłub.

—" Trzymać ogień zaporowy! Krótkie serie . . . Ognia! . . ."

Znowu zagrały karabiny.

Nieprzyjaciel atakuje nieco od rufy. Nie tak nisko jak poprzednio, ale za to wali całą maszyną jakby na zderzenie. Pierwsze jego pociski uderzają o wodę koło pięćdziesięciu metrów, zbliżając się z szaloną szybkością do burty. Już prawie dochodzą, już pierwsze dziurawią pomost . . .

. . . Błysk w maszynie. Zwinęła się na skrzydło. Widać jak świetlne pociski z " Najcięższego " wsiąkają w tejże chwili w prawe skrzydło tuż koło kadłuba.

Głuchy jęk motoru. Poderwał maszynę Niemiec w ostatniej chwili, lecz tak jakoś niezgrabnie, chwiejąc się. Już nie strzela . . .

Zamilkły karabiny maszynowe, bo przeszedł na drugą burtę.

Za to ryk, wrzask nieposkromiony bije poprzez pokład, dostaje się do każdego zakątka. Do tych, co skupieni przy motorach, do tych, co w każdej chwili wysilali swe mięśnie i uwagę w tych kilku minutach śmiertelnych zapasów, dociera i bije echem ich własnego głosu.

Oto tam na górze już krzyczą, że zwaliła się w płomieniach do wody, zanurzyła się w paru sekundach, by nie zostawić nic prócz tłustej plamy.

Czasem dobrze pomartwić się czekaniem!

JERZY PAWŁOWICZ

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych /Fundusz Kultury Narodowej/ prosi wszystkich przebywających na terenie Wielkiej Brytanii absolwentów i studentów 2-go do 5-go roku włącznie wydziałów weterynaryjnych o bezzwłoczne podanie swych nazwisk i obecnych adresów wraz z krótkim opisem przebiegu odbytych studiów.

Imiona, nazwiska i adres należy pisać wyraźnie /dużymi literami/. Dane należy kierować do dnia 15 lipca r.b. do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych /Fundusz Kultury Narodowej/ Stratton House, Stratton Street, London, W.1.

Bez black-outu

Tak. To trzy lata temu — z dokładnością do jednej miłości szkocko-polskiej — witano owacyjnie naszych żołnierzy na ulicach Liverpoolu po wylądowaniu, na ulicach Glasgowa po wywagonowaniu i na "psim torze" na przedmieściu, po naładowaniu żołądków pierwszą porcją brytyjskiego "hamu" i "jamu."

Do końca życia chyba nie zapomnę tego liverpoolskiego przemarszu. A jakże. Szedłem w pewnej zacnej czwórce, która śpiewała: "Dziś jest bal u weteranów," co ze względu na gwizdy przy słowach "czi to męska, czi to damska" zostało widocznie uznane za bojową pieśń polską przez Anglików, którzy pozdejmowali kapelusze. A później, w pobliżu dworca w Liverpoolu jakaś przygodna orkiestra starszych panów w "cwikierach," w melonikach na głowie, grała na naszą cześć jak umiała. Ludziska stawali na chodnikach, przyjaźnie kiwali głowami, wydając niezrozumiałe wówczas dla nas, gardlane dźwięki.

Po tym błyskawicznie "podstawiono" pociąg z wygodnymi wagonami trzeciej klasy i zaczęły się domysły mniej lub więcej trafne co do miejsca podróży. Gdy stanęliśmy w Carlisle, a warto przypomnieć, że wówczas na stacjach napisy z nazwami miejscowości były usunięte, jakiś robotnik kolejowy podszedł do okna wagonu i na migi wytłumaczył nam, że przekraczamy w tej chwili granicę między Anglią i Szkocją. Błyskawicznie przeleciała myśl: spódniczki męskie, kratki, kobzy i stare anegdoty o Szkotach. Uderzmy się w piersi: prawie nic więcej . . .

Nagle w przedziale wybuchł zachwyt. Wszyscy ulegli wielkiemu wzruszeniu: na peronie w Carlisle stał tuż przy naszym pociągu dystyngowany gentleman w czarnym żakiecie, w cylindrze na głowie i przyjaźnie się do nas uśmiechał. Ktoś szepnął: — "Pięknie nas witają. Wszędzie delegaci w cylindrach na dworcach." To też, gdy pociąg ruszył dystyngowany gentleman pewnie ogłuchł od wiwatów, które rozległy się na jego cześć. W długi, w bardzo długi czas po tym dowiedzieliśmy się, że żakiet i cylinder to tradycyjny strój każdego "station master" w służbie.

Po sandwiczach i pierwszym, tradycyjnym "cup of tea," które roznosiły w Carlisle panie brytyjskie, humory w przedziałach znacznie się poprawiły, a kiedy na horyzoncie ukazały się pierwsze naprawdę piękne wzgórza i lasy Szkocji ktoś powiedział: — "Poznajemy nowy kraj; wcale tu ładnie." Ktoś zaczął liczyć: — "Znam już Rumunię, Grecję, Włochy, Francję . . . teraz Szkocja . . ." Wtedy właśnie z końca wagonu odezwał się głos niezapomniany z "akcentem" warszawskim: "T u r i s t y k a!" I ktoś spuścił firankę.

Czy pamiętacie długi, bardzo długi przemarsz przez ulice Glasgowa? Śpiewaliśmy: "Madelon," a dochodząc do "psiego toru" wraz z pierwszym deszczem szkockim ktoś przypomniał piosenkę spod Cytadeli lwowskiej:

"W dzień deszczowy i ponury . . .
Szeregami lwowskie dzieci . . ."

Tymczasem dzieci szkockiej ulicy rozbrykane i umorusane, szły z nami w szeregach, po bokach, przebiegały między czwórkami. Wtedy pierwszy raz padł wyraz: "Souvenir!" Romantyczne, rozmarzone słowo, które jak wezwanie rzucił mi jakiś rudy, ośmioletni, piegowaty boy szkocki. Nasi żołnierze rozdali prawie wszystko, co mieli pod ręką, niektórzy odpruwali guziki, poszły bez wymiany wszystkie francuskie centimy, a dzieci szły, szły cierpliwie, wytrwale, zmieniając "do kroku" tylko dwa okrzyki: "Polish soldier" i "Souvenir." Zażywne "lassies" glasgowskie powiewały w oknach obrusami, chustkami i czym wypadło. Szkockie "butchery" i "grocery" stały na progach sklepów i waliły brawo. Ej pięknie było.

W tych dniach, które poczęły biec na torze glasgowskim bez totalizatora, ale coraz szybciej, niebezpiecznie bywało wyjść na miasto — nie z powodu dyskusji na temat Rosji, wówczas sprzymierzeńca III Rzeszy — ale z powodu niezmiernej serdeczności, która otaczała żołnierza naszego, na każdym kroku zastawiając sidła życzliwości specjalnie w barach glasgowskich, gdzie "Polish soldier" wstępował na "małe piwo." Po takim jednym "małym jasnym" kilku naszych kolegów przywieźli autami szczęśliwi, rozśpiewani Szkoci o świcie na drugi dzień, a że wtedy świt nie różnił się od północy, a północ od popołudnia /bo zmierzch jak zwykle w Szkocji przy dobrej pogodzie czerwcowej prawie nie zapadał/ nikt się w obozie na "psim torze" nawet tak bardzo nie gorszył. Zawsze noc dodaje większej "grozy" przestępstwu, a nocy wtedy w Szkocji nie było.

Szkoci wiedzieli i czuli, może nawet niektórzy do dziś to pamiętają, że wtedy, gdy wyspie tej groziła lada chwila inwazja, gdy w Glasgowie powitał nas nie tylko grzmot oklasków, ale także alarm przeciwlotniczy — przybył tutaj do nich sprzymierzeniec pierwszy, ciężko doświadczony we własnym kraju i we Francji. Biorąc pod uwagę ówczesny skład R.A.F. i udział w walkach lotniczych, w których tak poważną rolę odegrali Polacy — sprzymierzeniec jedyny. Nie było podziału na wielkie i małe państwa, nikt wtedy nie myślał nawet o interpretacji nienarodzonych "Kart," tylko po prostu do ludzi, których miasta i domy były zagrożone, przyszli ludzie bez miast własnych i bez domów, by dać im co najlepszego jeszcze mieli: przyjaźń i możliwość wsparcia obrony ich "home'u." Home Guard stawiał pierwsze kroki wraz z przyjaźnią polsko-brytyjską.

Te czerwcowe okrzyki i brawa 1940 roku nie były dla nas; to Polska wrześniowa, to Polska Podziemna, to Polska Walcząca na morzach i w powietrzu przyjmowała należne jej uznanie. Dziś to można ocenić z odległości trzech lat. "Poland" była na ustach wszystkich, przeżywała szczyt popularności w Szkocji. Po kilku dniach dzieci witały nas polskim: "Dzień dobry." Byliśmy głęboko wzruszeni. Mali spryciarze na robotniczych przedmieściach Glasgowa wyuczyli się po polsku całej formułki: "Niech żyje Polska! Daj mi pensa!" Na co znowu nasze cwaniaki odpowiadały po angielsku: "Niech żyje Szkocja! Daj mi szylinga!" Gdyby dzisiaj po trzech latach jakiś chłopak na przedmieściach robotniczych Glasgowa krzyknął: "Niech żyje Polska" — dałbym mu bez wahania pięć szylingów.

Ktoś powie, że wszelkie entuzjazmy szybko gasną, że gloria bohaterów była nieproporcjonalna do roli, jaką wyznaczono nam w Szkocji, że bywały wypadki . . . i tak dalej. Cokolwiek byśmy jednak powiedzieli nie wolno zapominać, że te brawa i uśmiechy z ulic Anglii i Szkocji, brawa dla Polski i sprawy polskiej, powinny trwać; jeżeli teraz przycichły, to je kiedyś wskrzesimy. O, wywołamy je na pewno!

Zmieniając często długo zajmowane m.p. na nowe, może żołnierz polski — z bardzo małymi wyjątkami—być zadowolony z uczciwej roboty "propagandowej," której dokonał w umysłach i sercach szkockich. Że entuzjazm trochę przygasł to, rzecz jasna, niczyja wina; po prostu bieg wypadków wojennych i przyzwyczajenie dokonały swego. Przyjaźń polsko-szkocka prawie nie zawiodła; przetrwała najtrudniejsze momenty, więc pewnie żyć będzie długo z korzyścią dla obu narodów.

To może nawet lepiej dla niej, że zamknęła się we wnętrzu domów szkockich, w zacisznych pokojach towarzystw polsko-szkockich, że przeszła w małżeństwa "mieszane." Nabrała przez to bardziej wewnętrznego, familijnego charakteru. Teraz modna jest inna przyjaźń głośna i bardzo zewnętrzna. Ona to idzie w hałasie ulicami Liverpoolu i Glasgowa, przechodząc w brawach przez ekrany i sceny brytyjskie. Być może rozdaje ona "souveniry," ale czy trwałe? Niewiadomo, czy wejdzie ona do domów szkockich, czy zasiądzie przy kominkach, czy kogo wzruszy. Być może przeżywa teraz swój punkt szczytowy.

Dokładnie w trzecią rocznicę swego przybycia niektóre oddziały zmieniają m.p. Nie wiem, jak wyglądały pożegnania innych oddziałów polskich w ich miejscach postoju, ale znam jedną scenę pożegnalną i ona mi wystarczy. Po przemówieniu dowódcy polskiego stanął na estradzie miejscowy dygnitarz szkocki, przemiły staruszek i . . . nie przemówił. Głos uwiązł mu w gardle, rzucił kilka urywanych słów, oczy zaszkliły mu się dziwnie, bąknął: "Sorry," przetarł okulary i zeszedł w tłum ludzi. Wzruszenie jego udzieliło się wszystkim zebranym Szkotom i ludziska co należy tutaj do rzadkości — chlipali po naszemu i głośno wycierali nosy.

Te łzy pożegnania nie tylko w oczach zakochanych dziewcząt, ale w oczach przedstawicieli różnych sfer społeczeństwa, to wielkie zwycięstwo uczuciowe żołnierza polskiego. Pamiętajmy, że dzieje się to w chwili, która bardzo różni się od czerwca roku 1940; każda niemal rodzina szkocka poniosła ofiary, w wielu rodzinach ktoś bardzo bliski jest "missing," ktoś bardzo drogi jest "overdue," ktoś jedyny padł w Afryce. Wiele ludzi tęskni i czeka tutaj i wtedy — nic dziwnego — rzuca im się w oczy ten, zresztą Bogu ducha winien, żołnierz polski, który po godzinach służbowych może stanąć sobie w ogonku przed kinem czy teatrem. O tak, niewątpliwie, łatwy to żer dla modnej propagandy o wiadomym kolorze. Jak łatwo uderzyć w takim momencie i zrobić burzę w szklance . . . "cup of tea."

Z tych wszystkich rzeczy warto zdać sobie sprawę przy zmianie m.p., warto rozważyć dobre i złe strony, warto zużytkować bogactwo doświadczeń na nowych miejscach postoju dla dobra naszej sprawy. Przede wszystkim należy wyzbyć się niepotrzebnej, a co więcej szkodliwej blagi. Niechże n.p. "prince" Duda /o którego niedawno nas pytano/ powie w nowym m.p., że jest po prostu uczciwym rzemieślnikiem polskim a nie księciem, bo i tak instytut Gallupa ustalił, że mamy opinię bohaterów i . . . blagierów, bo i tak jest ktoś, kto bardzo chętnie spisuje takich "princów" i "countów" dla zwycięstwa teorii o "landlordach polskich."

Blaga, czy to celowa czy anegdotyczna jest ryzykowna na tutejszym terenie. Pewien poważny Szkot w Edynburgu powiedział mi onegdaj, że pierwszy swój krok po wojnie skieruje do Polski, ginie bowiem z ciekawości, gdyż niedawno jeden z naszych żołnierzy powiedział mu, że w Polsce deszcz pada tylko w nocy! Albo ktoś zakpił sobie, albo zablagował się w stylu imć Zagłoby. Na nowych miejscach postoju nie ukrywajcie, że deszcz w Polsce pada także w dzień.

I jeszcze coś ważnego: w nowych m.p. spotkacie rodziny bez ojców, mężów i synów, i tam pewnie czeka dobrze przemyślana obca propaganda. Jeśli idzie o to pierwsze doradzać można umiar i tę samą serdeczną uczuciowość, która zwyciężała dotąd. Jeżeli idzie o to drugie to jedyne wydaje się zalecenie artykułu: "Guarda e passa" Stanisława Szurleja /w 23 nr. "Polski Walczącej"/ — milczenie. Przyniesie ono więcej korzyści, niż nieuzgodnione, porywcze, indywidualne występy "propagandowe" naszego żołnierza, choćby odruchowe i powzięte w najlepszej wierze.

Na użytek Kolegów przekazuję formułkę stosowaną przeze mnie z dość dużym powodzeniem przy zupełnym "zatkaniu" interpelującego: — "What do you think about Russia?" Odpowiedź: — "Sorry, I am not a politician, I am a soldier only." Spróbujcie. Wiem, że to niełatwe, że czasem krew zalewa, ale zbyt wielu ludziom zależy na tym, byśmy mówili, więc musimy wybrać na razie — milczenie.

Wtedy łatwiej może będą mówić ci z nas, którym milczeć nie wolno.

WIKTOR BUDZYŃSKI

Skrzynka pocztowa

POTĘŻNY ORĘŻ: KSIĄŻKA

Do Redaktora "Polski Walczącej."

Doprawdy zaczynam się obawiać, że wprost zasypuję Pana listami, ale obiecuję, iż postaram się w przyszłości poprawić. Tym razem jednak chcę jeszcze napisać kilka uwag, jakie nasunęły mi się po przeczytaniu bardzo słusznego listu p. Wacława Żychowicza do Pana, druk. w nr. 21 "Polski Walczącej," w sprawie wprowadzania książek o Polsce do tutejszych bibliotek publicznych.

Uważam, iż doskonale się stało, że ta sprawa została poruszona na łamach "Polski Walczącej." Nie jest ona bynajmniej taka błaha, jakby to się na pierwszy rzut oka mogło wydawać. Zgadzam się całkowicie, że książkowy "front zachodni" jest równie ważny, jak "front wschodni." A zresztą te fronty mają całkiem inny aspekt i bynajmniej wzajemnie nie kolidują ze sobą. Na "froncie wschodnim" chodzi nam bowiem o książkę polską, a z angielskich przede wszystkim o podręcznik do nauki tego języka, "front zachodni" zaś wymaga obesłania bibliotek publicznych w Wielkiej Brytanii przez możliwie bogate i starannie dobrane komplety książek o Polsce w języku angielskim.

Da Bóg, że pobyt nasz na tej gościnnej wyspie (bardzo niedawno temu obchodziliśmy już trzecią rocznicę naszego tutaj przyjazdu!) nie przeciągnie się zbyt długo. Chodzi o to, by pozostawił on po sobie ślady jak najlepsze i jak najtrwalsze. Jedną z najpiękniejszych pamiątek jest książka. Ale to nie tylko pamiątka. Książka to potężny oręż. Bardzo długo niedoceniony przez nas. Patrzmy, jak znaczenie książki doceniły—od lat—dwie najsprawniej, najpotężniej zorganizowane propagandy na świecie: niemiecka i sowiecka. My nie chcemy zostawiać wydawnictw propagandowych, tendencyjnych. Chodzi nam o to jedynie, by do rąk mas brytyjskich wiadomości o Polsce dotarły z pierwszej ręki, niespreparowane odpowiednio przez "przyjaznych" nam pośredników. Pobyt nasz na tej wyspie jest do tego zupełnie wyjątkową (prawdopodobnie jedyną w historii) okazją. Trzeba ją więc w pełni wykorzystać. Nie wolno jej zmarnować. Byłby to bowiem grzech niewybaczalny!

Idea p. Żychowicza nie może być zrealizowana w drodze "urzędowej," oficjalnej. To jest okazja do pracy dla "nieznanego żołnierza" — bezimiennego ofiarodawcy. Ale tym bardziej właśnie należy jak najsilniej podkreślić jej ważność i zachęcić, oraz *prosić* wszystkich o jej przeprowadzenie.

P. Żychowicz pisze o bibliotekach publicznych. Wydaje mi się, że obok bibliotek publicznych specjalną opieką otoczyć należy biblioteki szkolne. Przypominam sobie, jak trafnie i mądrze podkreślał w swoich artykułach drukowanych na łamach "Polski Walczącej" p. Zygmunt Nagórski, jr. /"W dalekim zasięgu," nr. 2, "Potęga Imperium," nr. 21 "Polski Walczącej" z 6.8./, konieczność zdobycia serc i umysłów młodzieży brytyjskiej. A przecież nic tak nie trafia do młodych, jak dobra, ciekawa książka.

Nie mam bynajmniej zamiaru się chwalić, ale pozwolę sobie tu przytoczyć jeden przykład charakterystyczny. W domu, w którym mieszkałem przez ostatni rok, jest syn domu, chłopiec 14-letni. Jest on uczniem jednej z najstarszych i największych *public school*, nazywającej się Christ's Hospital. Kiedyś gdy przyjechał do domu na wakacje ofiarowałem mu Fiedlera "Squadron 303." Chłopiec "połknął" tę książkę w kilka dni. I oczarowała go—sam przyszedł i zapytał, czy nie mam jeszcze innych. Dałem mu Czarnomskiego, Pat Washington i Swicza. Gdy zaś po przeczytaniu powiedziałem mu, że może je zabrać i ofiarować bibliotece swojej szkoły, mało mi się z radości nie rzucił na szyję. Niedawno miałem od niego list, w którym pisze mi, jak bardzo jego koledzy lubią te książki, i prosi mnie, bym kiedyś przyjechał koniecznie na week-end do jego szkoły. Dlatego też podkreślam—pamiętajcie o młodzieży! To jest *przyszłość*.

W tym samym numerze "Polski Walczącej," w którym pojawił się list p. Żychowicza przeczytałem dalszy artykuł p. Andrzeja Liebicha z jego cyklu pt. "Niezłomne serca," cyklu, którego chyba nikt nie może czytać obojętnie! We wstępie ostatniego artykułu p. Liebich, pisząc o nowym pokoleniu "Stasiów" dziwi się — jakże słusznie — że dotychczas nie została jeszcze na język angielski przetłumaczona książka Henryka Sienkiewicza "W pustyni i w puszczy." Gdy myślę o moich młodych znajomych Anglikach z Christ's Hospital jakże bardzo żałuję, że nie mogę im posłać angielskiego egzemplarza "W pustyni i w puszczy." To by ich zachwyciło, taka książka by ich przykuła! Nie tracę, nadziei, że któraś z polskich firm wydawniczych na terenie W. Brytanii postara się możliwie prędko uzupełnić tę lukę.

Ale nim się to stanie, powróćmy do apelu p. Żychowicza i postarajmy się, by jego myśl została przez nas zmieniona w czyn. Ale przy tym — proszę nie zapominajmy i o "froncie wchodnim" kampanii książkowej!

Stefan Żurowski

W SPRAWIE AUDYCJI "REFUGEE"

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z felietonem p. Budzyńskiego w nr. 25 "Polski Walczącej," uprzejmie proszę o zamieszczenie następujących wyjaśnień i uwag w sprawie audycji p.t. "*Refugee.*"

Audycja ta była nadana w programie angielskim "*Home Service*" bez porozumienia się ze strony BBC i ze strony autorki z Działem Radiowym M.I.D. Takie porozumienie się jest raczej obowiązkiem obywateli polskich, niż obowiązkiem władz BBC; w szczególności zaś trudno żądać od kierownictwa programu "*Home Service,*" by w każdym wypadku zwracało się do władz polskich, ilekroć prelegenta-Polaka zamierza zaprosić do mikrofonu. Jakkolwiek Dział Radiowy stara się o stałe utrzymanie współpracy pod tym względem z "*Home Service,*" to jednak przy skomplikowanej organizacji programowej BBC nie zawsze na czas bywa powiadamiany o poruszaniu spraw polskich w tym programie. Nie można o to jednak mieć pretensji ani do jednej, ani do drugiej strony. Natomiast wydaje mi się, że obowiązkiem każdego Polaka jest zwracanie się do odpowiedniej placówki polskiej o rady, wskazówki i ewentualnie także materiały, ilekroć ten Polak, czy też ta Polka ma okazję przemawiać do angielskiego mikrofonu.

Pragnę tu podkreślić, że Dział Radiowy nie zamierza nikomu przeszkadzać w wystąpieniach radiowych; nie rości sobie pretensji do cenzurowania tekstów; lecz zawsze może służyć radą i pomocą. W danym wypadku niewątpliwie kierownik programu Działu Radiowego doradziłby autorce "*Refugee*" usunięcie pewnych fragmentów z tej audycji, oraz dostarczyłby materiału, którego w niej zabrakło.

Chciałbym jeszcze dodać, że autorka zgłosiła się w Dziale Radiowym wkrótce po nadaniu przez BBC audycji "*Refugee,*" która wywołała liczne dyskusje i co do której — zwłaszcza wśród słuchaczy angielskich — zdania były bardzo podzielone /było co najmniej tyleż opinii pochlebnych, ile ujemnych/. Autorka, niezbyt dobrze orientując się we wzajemnym stosunku BBC i Działu Radiowego, bez złej woli pominęła pomoc, jakiej mogliśmy byli jej udzielić. O jej lojalności świadczy zresztą fakt, że zwróciła się już do Działu Radiowego o materiał i wskazówki do innej audycji projektowanej przez BBC. Nie należy zatem sądzić tej autorki zbyt surowo. Trzeba raczej pomóc jej i poradzić, jak i o czym powinna mówić, co też zostało już zrobione.

Wreszcie — ostatnia uwaga. Autorka audycji "*Refugee*" nie pomyślała o tym, że może i powinna korzystać z pomocy Działu Radiowego w sprawach audycji o Polsce w BBC. Mogła o tym nie wiedzieć, nie mając dotąd z Radiem Polskim do czynienia. Natomiast są wśród Polaków autorzy /i to nawet byli pracownicy Polskiego Radia/, którzy — chyba tylko za względów prywatnych animozji personalnych — z jednej strony stale odmawiają swojej współpracy w polskim programie radiowym, z drugiej zaś strony starają się wszelkimi sposobami wcisnąć swoje audycje do angielskich programów BBC drogą pośrednich znajomości z personelem angielskim, a z pominięciem Działu Radiowego, który jest do tego powołany.

Wydaje mi się, że takie postępowanie w większym stopniu zasługuje na publiczną naganę, niż błędy popełnione przez "paniusię," która lojalnie stara się je naprawić.

Proszę przyjąć wyrazy mego szacunku

Porucznik Herbert

OFIARNOŚĆ LOTNIKÓW

Do Redakcji "Polski Walczącej,"
Panie Redaktorze,

Proszę uprzejmie o umieszczenie odpowiedniej wzmianki w jego poczytnym piśmie, że tutejszy Dywizjon Wyszkolenia Wstępnego złożył — w czasie od października 1942 r. do końca czerwca 1943 r. — z urządzonych imprez jako czysty dochód na fundusze społeczne — Polish Benevolent Fund w Londynie a mianowicie:

1/ "*Na Pomoc Polakom w Rosji*"
dnia 9.10.1942 .... £59. 9. 3½
dnia 5.3.1943 .... £43. 1.11
£102.11. 2½

2/ "*Na sieroty i dzieci uchodźców polskich w Rosji*"
dnia 23.4.1943 .... £24.14. 9

3/ "*Na pomoc jeńcom*"
dnia 15.3.1943 .... £25.10. 6

4/ "*Na pomoc wdowom i sierotom po poległych lotnikach*"
dnia 17.6.1943 .... 9.17. 0

5/ "*Na Szpital Miejski w Brighton*" /wpłacono Zarządowi Szpitala Miejsk. Brighton/
dnia 9.6.1943 .... £26. 6. 2

Razem £188.19. 7½

/Słownie sto osiemdziesiąt osiem funtów, dziewiętnaście szylingów siedem i pół pensa/.

Z poważaniem

Dowódca Dywizjonu
A. D. Ppłk. obs.

Walny Zjazd Stow. Techników Polskich w Kanadzie, który się odbył w Montrealu w dniu 28 lutego 1943 r. uchwalił przez aklamację wniosek o powołanie specjalnego Komitetu do zainicjowania sprawy obchodu 100-lecia Politechniki Lwowskiej we wszystkich ośrodkach uchodźstwa polskiego. Jako początkowy zakres prac ustalono:

1. porozumienie się z kolegami w Anglii, U.S.A., Szwajcarii, Portugalii i na Bliskim Wschodzie w sprawie stworzenia wspólnego programu obchodu i zebrania potrzebnych do tego materiałów,
2. zorganizowania szerszego "Komitetu Obchodu," któryby ostatecznie ustalił zakres i formy uczczenia tej rocznicy,
3. apel do wszystkich kolegów — Lwowiaków o pomoc w zbieraniu potrzebnych dat i materiałów, a później o pomoc w akcji,
4. zawiadomienie Władz i Instytucyj Polskich o zamierzonej akcji,
5. wstępną publicystykę w tej sprawie /pisma polskie i obcojęzycz./

W związku z powyższym prosimy wszystkich Kolegów o:

a. pomysły dotyczące uczczenia stulecia,
b. daty, nazwiska i fakty dot. Politechniki, jej profesorów i b. wychowanków, ew. o wskazanie źródeł gdzie takie szczegóły można znaleźć,
c. daty, nazwiska i fakty /tylko ważniejsze/ charakteryzujące osiągnięcia polskiej myśli technicznej i pracę inżyniera polskiego w kraju lub na obczyźnie w ub. stuleciu,
d. znane fakty dot. Politechniki z czasów obecnej wojny,
e. szczególnie ważne fakty z dziejów Lwowa i Kresów Wschodnich.

Wszystkie pisma w tych sprawach należy przesyłać pod adresem: J. W. Meier, 589½ Bank Str., Ottawa, Ont., Canada.

Tymczasowy Komitet Obchodu

Pomoc dla Polaków w Rosji: £9,220

Oficerowie, podoficerowie i szeregowcy na terenie R.A.F. Maintenance Command — na pomoc Polakom w Rosji złożyli w miesiącu czerwcu 1943 kwotę £14.0.6.

* * *

W załączeniu przesyłam Money Order na kwotę jednego funta na rzecz pomocy Polakom w Rosji.

Z poważaniem

ppor. Stanisław S.

* * *

W załączeniu przesyłam "Postal Order" na sumę £1.0.0 z prośbą o przeznaczenie połowy wyżej wymienionej kwoty na zakup książki dla żołnierzy na Środkowym Wschodzie, drugą zaś połowę — na pomoc Polakom w Rosji.

kpr. F.N.

Przesyłam £1.18.0 z przeznaczeniem na Polski Czerwony Krzyż według życzenia ofiarodawczyni, której list tu cytuję. List był skierowany do Komendanta Szkoły Podchorążych Piechoty.

Oficer Oświatowy S.P.P.

Dear Major K.,

This is the money, £1.18.0, for the Polish Red Cross which I spoke of. I only wish it were more. Thank you for your help.

Yours sincerely,

/—/ Jenny I. Hutchison

* * *

p. Henryk Giełdziński nieprzyjęte honorarium za cykl artykułów p.t.: "W Afryce Zachodniej" druk. w nr. 12, 13, 14, 15, 16-17, 18 "Polski Walczącej" z r. 1943 w kwocie £18.10.0 przekazuje na Pomoc dla Polaków w Rosji.

NA POMOC POLSKIM DZIECIOM W ROSJI

Sumę £5.15.0 zebraną w czasie koncertu urządzonego przez uczniów Dyonu Wyszkolenia Przedwstępnego /A.C.T.C./ i sumę £2.10.0 stanowiącą trzy pierwsze nagrody na konkursie literackim świetlicy tegoż Dyonu, przekazaną przez wynagrodzonych na pomoc polskim dzieciom w Rosji.

M. Diakowowa, świetliczarka

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £44.3.6 /słownie czterdzieści cztery funty, trzy szylingi i sześć pensów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £9,220.5.7 /dziewięć tysięcy dwieście dwadzieścia funtów, pięć szylingów i siedem pensów/, 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5½ dolarów amerykańskich i 15 czerwieńców.

NA JEŃCÓW POLSKICH W NIEMCZECH

Z okazji imienin Ojca Chrzestnego Lotniczej Czołówki Teatralnej przesyłamy £3.0.0 /trzy funty/ dla jeńców Polskich.

Lotnicza Czołówka Teatralna

* * *

p. Cezary Oścień nieprzyjęte honorarium za trzy artykuły: "Z Generałem do Ameryki" druk. w nr. 5, 8 i 11 "Polski Walczącej" z r. 1943 w kwocie £6 przekazuje na pomoc jeńcom wojennym.

Dear Sir,

Forfar Branch and Letham Group of the Scottish-Polish Society would like through your columns to thank the Polish Army choir and the soloists from Static Units for the concert which delighted an audience of 450 in Forfar on Sunday, June 13th, and raised £35.6.6 for Forfar and District Wings for Victory Week.

The readiness of the Polish artistes to co-operate in our Scottish war effort has created a very favourable impression in this area.

I am, yours sincerely,

James Barber,
Hon. Secretary.

Zbiórka książek dla żołnierzy polskich na Wschodzie

Pan Redaktor,
"Polski Walczącej,"

Przesyłam jedną książkę przepisaną ręcznie: Janusz Korczak — "Jóźki, Jaśki i Franki" — dla dzieci polskich na Wschodzie.

Jadwiga Sikorzyna

Na książce znajduje się następująca notatka:

"Mała książeczka "Jóźki, Jaśki i Franki" wędrowała w plecaku żołnierskim ś.p. podch. Jasińskiego i była jak mawiał: "jego umileniem" w ciężkich chwilach tułaczki.

Przypominała mu żywo te najjaśniejsze drogi Jego życia w Polsce, gdzie jako nauczyciel urabiał charaktery takich właśnie "Jóźków, Jaśków i Franków."

Pamiętam jak ożywiały się jego smutne oczy, kiedy złożony ciężką chorobą w jednym ze szpitali w Szkocji — pokazywał mi tę książeczkę. Jak gorąco i z przejęciem mówił o wszystkim co związane ze sprawą dzieci w przyszłej Polsce. Jakie ugory przeorać, ile twórczej pracy poświęcić, by to wszystko co "stary doktór" pragnął, pisząc tę książkę — weszło najpełniejszym ziarnem.

W myśl intencji ś.p. podch. Jasińskiego przepisałam tę książeczkę, by tak jak pragnął, znalazła się u naszych polskich dzieci.

Jadwiga Sikorzyna

* * *

P.T. "Polska Walcząca,"
w Londynie,

Przesyłam książki: Z. Krasiński: "Przedświt." Reymont: "Chłopi" /Jesień, Zima, Wiosna, Lato/. A. Fiedler: "Dywizjon 303" z prośbą o przesłanie ich dla Polskiego Żołnierza na Wschodzie.

Mjr. S.S.

P.A.Z. przesłał:

A. Fiedler: "Dywizjon 303." M. Hemar: "Adolf Wielki." "Antologia poezji współczesnej." "Nazywam się Million." C. Jeśman: "Północne podróże podhalańskie." Słownik polsko-francuski.

* * *

Proszę o przesłanie tych książek do nauki języka angielskiego żołnierzom na Bliskim Wschodzie.

pchor. J.M.

Załączone:
C. E. Eckersley: "Essential English." "1000 słów po angielsku." L. Marsh: "Picture Composition." J. Read: "Historic St. Andrews and its University."

* * *

Dotychczasowa suma zbiórki wynosi 2039 książek.

Wykaz rodzin wojskowych zamieszkałych w Akmolińsku

1. **Adamski** Stanisław s. Romana, ur. 1888 r.; Maria — żona, ur. 1891 r.; Hanna — córka, ur. 1920 r. /syn Roman ppor. rez./; ul. Puszkina 119.
2. **Afelt** Teodozja, ur. 1900 r.; Regina — córka, ur. 1932 r.; Edward — syn, ur. 1931 r. /mąż Józef plut. Irak/; ul. Rewolucyjonna Nr. 49.
3. **Andronowska** Michalina, ur. 1900 r.; Hipolit — syn, ur. 1924 r.; Narcys — syn, ur. 1933 r. /syn Jan — Irak/; Siemionowka.
4. **Banasińska** Anna, ur. 1908 r.; Jolanta — córka, ur. 1936 r. /mąż Kazimierz por. lot. Anglia/; Akmolińsk Cegielnia.
5. **Bandyra** Eugenia c. Aleksandra, ur. 1907 r.; Wiesława — córka, ur. 1930 r. /mąż. Władysław sierż. Irak/; ul. Kujbyszewa 26.
6. **Baranowska** Władysława, ur. 1907 r.; Janusz—syn, ur. 1930 r. /mąż Jan plut. zaw. Irak/; ul. Puszkina 20.
7. **Berger** Bronisława, ur. 1895 r.; Maria — córka, ur. 1927 r. /mąż Aleksander por. rez./; Sowchoz 1.
8. **Berka** Maria ur. 1886 r.; Emilia — córka, Izydor — syn, Józefa — córka /syn Franciszek — Irak, syn Stanisław lotnik — Anglia/; ul. Czeluskina 14.
9. **Biajgo** Emilia, ur. 1878 r. /syn Kazimierz lot. Irak/; st. Karady.
10. **Białomyza** Helena c. Filipa, ur. 1890 r.; Katarzyna — córka, ur. 1928 r.; Antonina — córka, ur. 1929 r.; Wanda — córka. ur. 1933 r. /syn Piotr—Irak/; 94 razjezdlinia Akmolińsk Kartały.
11. **Bondarowicz** Irena, ur. 1909 r.; Marian — syn, ur. 1935 f. /mąż Wincenty ppor./; st. Karadyr.
12. **Bona** Klementyna c. Walentego, ur. 1903 r.; Halina — córka, ur. 1934 r.; Zdzisław — syn, ur. 1934 r. /mąż Alojzy bosm. M.W. Irak/; 94 razjezdinia Akmolińsk-Kartały.
13. **Bucko** Stefania, ur. 1901 r.; Leon — syn, ur. 1927 r. /mąż Jan st. sierż. Irak/; ul. Rabocza 23.
14. **Buzuk** Stanisława, ur. 1888 r. /syn Kazimierz — Irak/; ul. Rowolucjonna 48.
15. **Buzuk** Natalia c. Szymona, ur. 1912 r.; /mąż Stefan por. zaw/; ul. Rewolucjonna 48.
16. **Butkiewicz** Maria, ur. 1902 r.; Danuta — córka, ur. 1928 r.; Janina — córka, ur. 1931 r.; Zbigniew — syn, ur. 1930 r. /mąż Jan wachm. zaw/; ul. Puszkina 29.
17. **Charubin** Anna c. Stanisława, ur. 1904 r.; Lech — syn, ur. 1929 r.; Ryszard — syn, ur. 1929 r. /mąż Jan por. zaginiony/; Cegielnia Nr. 1.
18. **Charużyk** Fiodora, ur. 1888 r. /syn Jan — Irak/; st. Karadyr.
19. **Chmura** Barbara, ur. 1904 r.; Izabella — córka, ur. 1927 r.; Maria — córka, ur. 1929 r.; Herman — syn, ur. 1932 r. /mąż Andrzej st. sierż. Irak/; XV distancja.
20. **Chomicz** Stanisława, ur. 1908 r.; Aleksandra — córka, ur. 1933 r. /mąż Bronisław zagin. por/; XV distancja.
21. **Ciotrowska** Anna, ur. 1900 r.; Zdzisław — syn, ur. 1926 r.; Danuta — córka, ur. 1938 r.; Jadwiga — córka, ur. 1939 r. /mąż Bolesław plut. zagin/; Cegielnia nr. 1.
22. **Czajkowska** Helena, ur. 1911 r. /mąż Stanisław sierż. Irak/; XV dinstancja.
23. **Daszkiewicz-Korybut** Lidia, ur. 1898 r.; Lech — syn /syn Jerzy — Irak/; ul. Delegacka Nr. 18.
24. **Dabrowska** Irena, ur. 1918 r. /urzędniczka M.S.W. Warszawa/; ul. Omska 23.
25. **Depner** Maria c. Aleksandra, ur. 1900 r.; Irena — córka, ur. 1929 r.; Helena — córka, ur. 1932 r.; Czesława — córka, ur. 1933 r. /mąż Zenon plut. rez. Irak/; 27 posiołek.
26. **Dłużniewska** Lidia, ur. 1889 r. /syn Zbigniew — Irak/; st. Karadyr.
27. **Drygalska** Jadwiga c. Stanisława, ur. 1908 r.; Aldona — córka, ur. 1932 r. /mąż plut zaw. zaginiony/; ul. Woroszyłowa 42.
28. **Dyszczakowska** Władysława c. Włodzimierza, ur. 1923 r.; Zdzisława — siostra, 1931 r. /ojciec Włodzimierz bosman zaginął/; 95 razjezd lin. Akmolińsk-Kartały.
29. **Frola** Józef, ur. 1882 r.; Emilia — żona, ur. 1888 r. /syn Franciszek por.-Kozielsk/; XV dystancja.
30. **Funk** Genowefa, ur. 1910 r.; Jadwiga — córka, ur. 1938 r.; Józef — syn /mąż Henryk — Irak/; Cegielnia Nr. 2.
31. **Gierycz** Wanda, ur. 1898 r. /syn Edmund szer. Irak/; ul. Omska 23 /150 rb./.
32. **Grygorywicz** Stefania, ur. 1887 r.; c. Adama /syn Romuald podch. Irak/; Internacjonalna Nr. 2 /150 rb./.
33. **Grześkowiak** Berta, ur. 1905 r.; Józef — syn, ur. 1928 r. /mąż Feliks sierż. zaginiony/; Cegielna Nr. 1 /200 rb./.
34. **Gutowska** Konstancja, ur. 1903 r.; Lucyna — córka, ur. 1927 r.; Irena — córka, ur. 1930 r. /syn Zdzisław szer. Irak/; St. Karadyr /150 rb./.
35. **Gutowska** Zofia, ur. 1903 r.; Regina — córka, ur. 1924 r.; Wanda — córka, ur. 1930 r.; Krystyna — córka, ur. 1933 r.; Paweł — syn, ur. 1935 r. /syn Stanisław szer. Irak/; XV dystancja /300 rb./.
36. **Hubicka** Katarzyna, ur. 1893 r.; Roman — syn, ur. 1927 r. /syn Józef szer. Irak/; st. Karadyr /200 rb./.
37. **Iwańska** Stefania, ur. 1897 r.; Bogusław — syn, ur. 1925 r.; Irena — córka, ur. 1926 r.; Stanisława — córka, ur. 1929 r. /mąż Jan st. wachm. Irak/; XV distancja /250 rb./.
38. **Jacyna** Pelagia, ur. 188 r. /syn Józef szer. Irak/; 30 posiołek /150 rb./.
39. **Kaczmarek** Wanda, ur. 1912 r.; Janina — córka, ur. 1939 r. /mąż Jan por. rez. zaginiony/; XV distancja /200 rb./.
40. **Kaklin** Scholastyka, ur. 1890 r.; Stanisława — córka, ur. 1920 r.; Janina — córka, ur. 1928 r.; Mieczysław — syn, ur. 1930 r.; Tadeusz — syn, ur. 1932 r.; Maria — córka, ur. 1935 r. /syn Wacław szer. Irak/; Cegielnia Nr. 2 /300 rb./.
41. **Kamińska** Anastazja, ur. 1891 r.; Maria — córka, ur. 1920 r. /syn Feliks szer. Irak/; 32 posiołek /150 rb./.
42. **Karpińska** Jadwiga, ur. 1910 r.; Maria — córka, ur. 1931 r. /mąż Stanisław sierż. Irak/; Cegielnia Nr. 1 /200 rb./.
43. **Kupiec** Ewa, ur. 1892 r. /syn Jerzy szer. Irak/; 32 posiołek /150 rb./.
44. **Kowalewska** Wanda, c. Konstantego, ur. 1890 r.; Zbigniew — syn, ur. 1931 r. /mąż Stefan, of. rez. Kozielsk/; ul. Rewolucjonna 38 /200 rb./.
45. **Kozek** Lucyna, c. Władysława, ur. 1912 r.; Leszek — syn, ur. 1938 r. /mąż Stefan ppor./; ul. Stalina 60 /200 rb./.
46. **Krochmalska** Serafina, c. Aleksego, ur. 1906 r.; Jan — syn, ur. 1931 r. /mąż Jan por. rez. Kozielsk/; 94 razjezd lini Akmolińsk-Kartały /200 rb./.
47. **Krzymieniecka** Zenaida, ur. 1889 r. /mąż Józef sierż. Irak/; ul. Omska 23 /150 rb./.
48. **Kuchta** Maria, ur. 1900 r. /syn Zbigniew szer. Irak/; 27 posiołek /150 rb./.
49. **Kuczyńska** Irena, ur. 1905 r.; c. Kazimierza, Elżbieta — córka, ur. 1927 r.; Janina — córka, ur. 1931 r. /mąż Zygmunt pułk. dypl. Irak/; Saco-Vancetti Nr. 34 /250 rb./.
50. **Kuczyński** Stanisław, ur. 1875 r.; s. Feliksa, Aleksandra — żona, ur. 1879 r.; Joanna — córka, ur. 1922 r. /syn Kazimierz szer. Irak/; ul. Rewolucjonna Nr. 48 /200 rb./.
51. **Lechowska** Janina, ur. 1919 r.; Ryszard — syn, 1932 r. /mąż Józef plut. Irak/; Sowchoz Nr. 1 /200 rb./.
52. **Lesiowicz** Jadwiga, ur. 1914 r. /mąż Paweł ppor. rez. zagin./; 30 posiołek /150 rb./.
53. **Lipner** Józefa, ur. 1900 r. /mąż wachm. żand. zaginiony/; ul. Omska 30 /150 rb./.
54. **Macioch** Eleonora, c. Dominika, ur. 1912 r.; Bogumił — syn, ur. 1937 r.; Urszula — córka, ur. 1939 r. /mąż Władysław kom. ppor./; ul. Omska 23 /250 rb./.
55. **Makarewicz** Janina, ur. 1907 r. /mąż Włodzimierz plut. zagin/; ul. Rewolucjonna 48 /150 rb./.
56. **Makowska** Kazimiera, c. Bolesława, ur. 1904 r.; n. utrz. Czech Irena, ur. 1897 r.; Piechowski Edward, ur. 1884 r. /mąż Stanisław kpt. zabity/; ul. Manuilska 57 /150 rb./.
57. **Massalska** Helena, ur. 1920 r. /mąż Olgierd por. Irak/; Sewerny Wygon 57 /150 rb./.
58. **Matloch** Dorota, c. Piotra, ur. 1900 r.; dzieci: Leokadia, ur. 1928 r.; Stanisław, ur. 1931 r.; Mieczysław, ur. 1933 r. /mąż Jan sierż. Irak/; 27 posiołek /300 rb./.
59. **Mielniczuk** Adelaida, ur. 1911 r.; Olga — córka, ur. 1935 r. /mąż Andrzej kpt. zaginiony/; 95 razjezd lini Akmolińsk-Kartały /200 rb./.
60. **Miller** Bronisława, ur. 1906; dzieci: Ryszard, ur. 1930 r.; Kazimierz, ur. 1931 r. /mąż Bohdan kaw. Krzyża Niepodległości/; ul. Puszkina 108 r.
61. **Motkowska** Regina c. Władysława, ur. 1914 r.; Irena — córka, ur. 1935 r. /mąż Kazimierz kpt. zaginiony/; ul. Omska 23.
62. **Mrozowska** Zenaida, ur. 1890 r. /mąż Stanisław/; Cegielnia 2.
63. **Niedzielska** Janina c. Juliana, ur. 1907 r. /mąż Franciszek st. sierż/; ul. Saco-Vancetti 34.
64. **Niezgoda** Paulina, ur. 1910 r. /mąż Władysław por. Kozielsk/; Cegielnia Nr. 2.
65. **Nowak** Jadwiga, ur. 1904 r.; dzieci: Zbigniew, ur. 1925 r.; Danuta, ur. 1927 r.; Barbara, ur. 1931 r. /mąż Antoni st. sierż. zag./; XV distancja.
66. **Nowotko** Stanisława c. Wojciecha, ur. 1895 r.; dzieci: Maria, ur. 1928 r.; Edward, ur. 1931 r. /mąż Edward kpt. zaginiony/; 94 razjezd linii Akmolińsk-Kartały.

KOŁO PRZYJACIÓŁ HARCERSTWA

Otwiera zapisy na kolonie letnie. Przyjmowane są dzieci obojga płci od 7 do 18 lat. Koszt utrzymania: 1 gwinea tygodniowo plus koszty przejazdów /około 1 i pół funta dla dzieci do lat 14/ oraz niewielkie wpisowe dla nie-członków. Rodzice pobierający uposażenie poniżej £30.0.0 miesięcznie mogą przewieźć i umieścić dzieci bezpłatnie opłacając tylko wpisowe.

Czas trwania kolonii: 20 lipiec — 1 wrzesień b.r.

Miejsce kolonii: Silecroft Camp, Silecroft, nr. Millom, Cumberland.

Komfortowe baraki Ministry of Works tuż przy plaży.

Szczegółowe informacje: Rubens Hotel, pokój nr. 8.

SPIS RZECZY:

KURS FINANSOWO-SKARBOWY

W niedalekiej przyszłości uruchomiony zostanie trzechmiesięczny kurs finansowo-skarbowy w Londynie dla urzędników z resortu Ministerstwa Skarbu. Celem kursu jest przygotowanie kadr urzędników administracji skarbowej na okres powojenny w zakresie działu podatków bezpośrednich i pokrewnych.

Władze Brytyjskiego Ministerstwa Skarbu współpracują przy organizacji kursu finansowo-skarbowego, oddając do dyspozycji prelegentów i umożliwiając naszym słuchaczom zapoznanie się z ustrojem i organizacją zarządu skarbowego w Zjednoczonym Królestwie.

Kandydaci na kurs winni wykazać się służbą w administracji skarbowej. W wypadkach zasługujących na uwzględnienie Minister Skarbu może zezwolić na przyjęcie kandydatów nie posiadających praktyki skarbowej.

Osoby cywilne i wojskowi na długoterminowych urlopach winni składać zgłoszenia wprost do Ministerstwa Skarbu w Londynie, 27, Albemarle Street, London, W.1. W odniesieniu natomiast do kandydatów wojskowych pozostających w służbie czynnej /oficerów i szeregowych/ tryb zgłoszeń regulują zarządzenia władz wojskowych.

Przyjęci na Kurs kandydaci — otrzymają na czas trwania Kursu wyrównanie do wysokości ustalonego minimum kosztów utrzymania w Londynie.

O terminie rozpoczęcia Kursu zainteresowani zostaną zawiadomieni.

Bliższych informacji udziela Ministerstwo Skarbu, 27, Albemarle Str., pokój nr. 32 /tel. REG 57-01 wew. 24/.

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh. 20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.